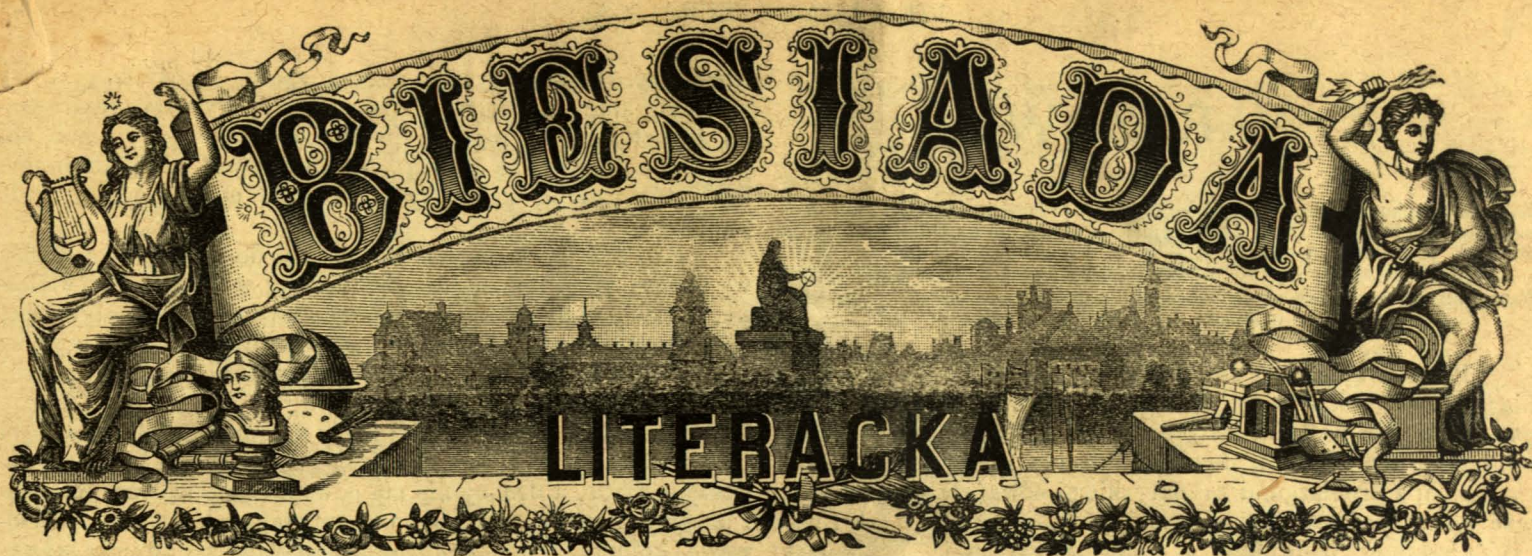




LITERATURA, SZTUKA, KRYTYKA, WYCHOWANIE, GOSPODARSTWO, PRZEMYSŁ, SPRAWY BIEŻĄCE, POLITYKA.

Nr 2—576.

Redakcyja: Chmielna Nr 26.

Warszawa, 14 stycznia 1887 r.

2 stycznia 1887 r.

Tom XXIII.



JOANNA D'ARC NA STOSIE.

Obraz G. Maxa.

mieszkańców, dławionych ogniem i dymami... całe stada płochliwych zajęcy, zgłodniałych wilków, lisów, sarn i dzików w szalonym pędzie wydostawały się z płomieni, z gwaru i rozdzwieku wydobywającego się z kilkakroćstotysięcznego tłumu. Miasto gotowało się z gorączkowym pospiechem na przybycie najeźdźców: mury połatano jako tako, fosy pogłębiono, obwarowania wysokiego zamku związane z miejskimi, klasztory zmieniono na forty, żywności dostatek, cekhauz także zaopatrzony w amunicję. Siły zbrojne więcej niżli ubogie, bo oprócz wyćwiczonego żołnierza z 600 głów złożonego, 1,000 młodzi miejskiej i 400 zaciężnej zbieraniny, rodzaj pospolitego ruszenia z kmieci okolicznych utworzonego. Na czele tego hufca różnobarwnego stał, jak to już powiedziano wyżej, energiczny komendant, p. Eliaś Łącki, pod tym przynajmniej względem szczęśliwy, że nie miał aspirantów żadnych do dzieleńia z nim władzy; wyżsi bowiem dygnitarze koronni, jak duchowni tak świeccy, wynieśli się z miasta daleko wcześniej, nawet przełożeni zgromadzeń zakonnych do Krakowa wyjechali, zabierając z sobą cenniejsze pamiątki, w skarbcach kościelnych przechowywane, jak wota, aparaty, cudowne wizerunki i t. d. Zostało wprowadzić trochę uboższej szlachty, ale ta zachowywała się spokojnie, nawet ochotnie pracowała przy taczkach uprzętając wały miejskie. Z patrycyatem komendant łatwiej mógł dać sobie radę, choć do nieporozumień dochodziło niekiedy, jak się o tem łatwo z listu jego przekonać: „Cale nie mam z kim tak wielkiej potędze oprzeć się, bo jako widzę w mieszczanach niesforność, co ich jeszcze trochę zostało się i to samo ubóstwo” (*). Ubóstwo istotnie wielkie, z całego zarządu miejskiego, dwóch tylko radnych—Bartłomiej Zimorowicz i Jan Gąsiorkiewicz. Ludzie to skromni, więcej niżli mierniej kondycji, pierwszy syn kamieniarza, trochę poeta, trochę historyk, pracą, wytrwałością i poświęceniem bez granic zdobył sobie stanowisko: najprzód pisarz sądów lwowskich, potem notaryusz, ławnik, wreszcie rajca; ożeniony z córką Jerzego Krolla, bogatego kupca i patrycyusza, odznaczał się energią; nie należy zapominać, że w epoce najazdu, był to już starzec siedmdziesięcioletni. Jan Gąsiorkiewicz miał przynajmniej antecesorów w rodzie, dziadek jego Stanisław brał udział w pamiętnym z jezuitami zatargu w r. 1608 r., znajdował się w poczcie delegatów wysadzonych od miasta do jego królewskiej mości; Jan poświęcił się prawu, używał miru u współobywateli, słynął z wymowy i niezależnego charakteru. Ławników liczono więcej pośród obecnych, zato wszyscy mężowie zaufania, a było ich czterdziestu, choć przysięgali „na wierność i na męztwo”, wynieśli się poza mury zagrożonej stolicy województwa. Z konieczności tedy, wyżej wzmiankowani dygnitarze stanęli na czele mieszczanstwa. Zimorowicz, podniesiony do godności przygodnego burmistrza, udał się do ratusza, zaprosił na posiedzenie komendanta i wszystkich obywateli; z zapalem młodzieńczym, który dziwnym blaskiem opromieniał twarz jego pomarszczoną i głowę okrytą siwizną, nawoływał do wytrwałości, posłuszeństwa, zapewniając, że przy pomocy Bożkiej odeprą wroga niechybnie. Zapał ten udzielił się obecnym, pod jego wpływem surowy i dotąd ciągle niezadowolniony komendant, poprzysiągł, że raczej prochami wysadzi miasto, niżli pomyśli o poddaniu jego. Zaraz tedy ułożono spis zdolnych do broni, podzielono gród stary na cztery militarne dzielnice, nad którymi przyjęli dowództwo Ferdynand Lochner, Urban Czechowicz, Jan Stadnicki i Andrzej Szymonowicz. Broń rozdano, prochy przywieziono w porę z dolnego Kazimierza, także rozposażono między nowo kreowane oddziały i natychmiast gwardya miejska, świeżo powołana do życia, jako straż, zaciągnęła warty na wałach i bramach. A nieprzyjacieli zbliżał się wytrwale: już 17 września pierwsze jego tabory pokazały się pod Lwowem, 20—stało pod murami 80,000 tatarów, 15,000 kozaków i 8,000 Turków, dopiero wszakże w pięć dni później przybył Kapłan basza z wołoszą, multanami i siedmiogrodzianami...

Zaraz nazajutrz dowódca przednich czat tatarskich wezwał mieszkańców żeby się poddali, grożąc im zniszczeniem ostatecznym (**); naturalnie, że odmowną otrzymał odpowiedź;

rozpoczęli więc oblegający szturm, z małemi przestankami, trwający dni kilkanaście. Nie mamy zamiaru powtarzać tutaj okropności jego, znany jest z dziejów, a nam idzie przede wszystkim o garstkę patrycyuszów w obrębie miasta pozostałych. Dopiero 24 września nad ranem, przysłał han czausa z żądaniem, by sławetni dla porozumienia się wybrali umocowanych, a ci winni się stawić w jego obozie; porozumienie nie nastąpiło, ale z oświadczeń wielkorządcy krymskiego można się było domyślić, że się skłania ku pokojowi (*). W misji tej brał udział d-r Szymonowicz wraz z dowódcą chorągwi Megeliczem. Han żądał, by go opatrzone w żywność, by do czambułów przeciągających pod murami nie strzelano wcale; pośrednik hański miał powiedzieć delegatom przy pożegnaniu: „brońcie miasta jaknajusilniej, nazajutrz otrzymanie wiadomość o zawarciu przymierza z sultanem tureckim” (**). Długo w noc naradzali się delegaci z burmistrzem Zimorowiczem; otucha w serca wstąpiła, chociaż żądania hana jegomości uważano za dziwne: dostarczyć mu prowiantu—to znaczy ogołocić miasto, narazić na niedostatek pospólstwo pieczy jego, jako gospodarza, powierzone, a też czambuły wędrujące wgląd kraju—więc je przepuszczać bezkarnie, jak gdyby kraina po za miastem rzucona i samo miasto stanowiły dwa oddzielne państwa. Noc ta dziwnie ciężką wydała się dla obleżonych, choć działa z obu stron milczały; o świtanu Kapłan basza wezwał do poddania się, skorzystał z tej zrzeczności Zimorowicz i wspólnie z Megeliczem udał się do dowódcy tureckiego, wioząc w upominku „cztery chleby, dziesięć głów cukru i beczulkę praśnego miodu” (***). Poselstwo naraziło się na wściekły gniew turka, ledwie z duszą ujęć zdołało.

I rozpoczęły się nowe szturmy. Najcięższe były dwie doby następujące, grad ognisty spadał na miasto, 4,000 kul żelaznych—po cztery na trzy minuty—istne piekło, a jednak rannych i poległych liczono niewiele—„bo na kilkoro ludzi i na kilkunastu żołnierzy nie zginęło więcej”, powiada społecznym (*); dachy podziurawione jak rzeszoto, nigdzie spokojnej kątą, a tu 20,000 kobiet i dzieci wylekłych i onieprzytomniałych z rozpacz. Wysoki zamek, klasztor bernardynek w ręku nieprzyjaciela, miny podziemne, gotowe łada chwila wysadzić wszystko w powietrze... Już wobec tych wyrzekań tłumnych, najenergiczniejsza wola osłabnie, Zimorowicz jednak pozostał niewzruszony; przekładano mu, że prochów i amunicji zabraknie, a on prosił, by dowódcy gwardyi miejskiej, od niego przeważnie zależni, nie oglądali się na to, dostarczy bowiem wszystkiego... A takie pogodne oblicze miał ten starzec, z takim spokojem przechadzał się po wałach, z taką powagą radził na ratuszu, z taką hojnością rozdawał pożywienie miejscowemu ubóstwu, że zaczęto go posądzać o stosunki jakieś tajemne z hetmanem w. k., kędyś w okolicy miasta przebywającym, wreszcie nawet o czary... Nie domyślali się, że w modlitwie znajdował uspokojenie; godziny wolne spędzał on w kapliczce na cmentarzu katedralnym zbudowanej, kędy znajdował się wizerunek „Najświętszej Panny Cmentarnej”. Obrazek pędzla miejscowego artysty, przedtem ubrany w kosztowne szaty, teraz ubożuchno wyglądał, bo wszystką „kapliczną argenterią” wywieziono do Krakowa (****); niemniej przeto oblicze Orędowniczki z ciemnego tła łagodnym i pocieszającym okiem spoglądało na pochylonych u jej stóp trwożnych obleżonych. I Zimorowicz czerpał tu otuchę; wiara ludzi ówczesnych wobec dzisiejszego zubożnienia wydaje się naiwną i dziecinną, a jednak cuda tworzyła. I przygodny burmistrz puklerzem tej wiary opancerzony, urosł na bohatera do bojów i niebezpieczeństw nawykłego, pośród gradu kul przechadzał się spokojny, corana po pacierzu ślub czynił, że klucze miastałoży tylko on stóp Przenajświętszej Pani, nikomu innemu ich nie doręczy. Takiż rozpozgodzony i ufny, jednego z tych dni żałobnych przybywszy na ratusz, zastał tłum wyjącego pospólstwa; na czele jego stał poważny patrycyusz, doktor obojga praw, p. Maciej Kuczankowicz; utrzymywał on, że w poddaniu

(*) Grabowski, Ojczyście spominki II. 177.

(**) Zubrzycki, Kronika m. Lwowa, s. 422.

(*) Zubrzycki I. c. 423.

(**) Kochowski, Klimakter IV, 223.

(***) Zubrzycki I. c. 423.

(****) Akta historyczne II, 1102.

(*****) Sadok Barącz. Pamiętnik dz. pol. 287.

miasta upatruje jego ocalenie, że dni jeszcze kilka takich, a kamień na kamieniu nie zostanie, że liczba obrońców coraz się zmniejsza, że zwątpienie ogarnęło wszystkie warstwy, że społeczeństwo gotowe otworzyć samo bramy nieprzyjacielowi. Zimorowicz osłupiał w pierwszej chwili, ale w rychłe przyszedł do siebie, zaczął przekładać, jako ma niepłonną nadzieję, że bombardowanie wkrótce ustanie, że na wytrwałości lwowian wiele zależy Rzeczypospolitej, a w końcu nie mogąc przekonać przeciwnika, nie chcąc wreszcie powiększać tumultu, odesłał go do komendanta. Rozmowa z p. Łackim była krótka; surowy i sprawiedliwy, strachem przejmował opornych i zabaczających obywateli. Przypominał więc Kuczankowiczowi przysięgę przed kilkunastu złożoną duiami: „jeżeli sam kiedy—zawołał—zamyszę o poddaniu miasta, każdemu wolno mnie przebić własnym mieczem, ale jeśli kto z tych, co tu są w mieście, ten sam po weźmie zamiar, tym samym mieczem z mojej ręki poniesie karę” (*). A że z groźnym dowódcą nie można było żartować, więc się tłum niechętny rozpylić zaczął powoli.

Na szczęście zajęcie to miało miejsce na schyłku oblężenia, bo już 29 września o północy dwóch *czausów* do bramy miasta zakolatało, donosząc, że pokój między padyszachem a Rzeczypospolitą zawarty został w Buczaczu...

Lwowianie odetchnęli swobodniej. Zimorowicz do świtań modlił się w kapliczce cmentarnej, a kiedy mu współobywateli wieszali, odpowiadał skromnie, wskazując na wizerunek, że to Ona najśłodsza i najukochańsza patronka uchroniła lud wierny od hańbiącej niewoli, i jakby zrzekając się prowizorycznego urzędu, na ołtarzu klucze miejskie złożył jednocześnie.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

ON ALBO MY!

Artysta malarz zaprosił nas na świadków sceny stariej jak świat a odnawiającej się bezustannie, jak rana zadana ambicji próżnego człowieka. Zazdrość dworaków wszędzie znajdzie dla siebie dość pokarmu; artysta wybrał dwór Walezyuszów, dwór francuzki najbogatszy pod względem przepychu, piękności niewieścich i dystyngowanych kawalerów.

Właśnie jeden z takich wywyższonych faworytów wchodzi do poczekalni w pałacu królewskim, zapelnionej już dworakami oczekującymi na audyencją u króla, królowej lub królewskiej faworyty. Nowo wstępujący po schodach wyłożonych dywanem ma minę wyniosłą, pewną siebie a pogardliwą dla innych; można by go wziąć raczej za samego króla niż za sługę jego. Odźwierny wita głębokim ukłonem pana, którego pierś ozdobiona jest najwyższym orderem państwa a ręka dumnie spoczywa na rękojeści szpady.

W faworyta utkwili wzrok wszyscy jego rywale; nawet ten co postępuje za nim, patrzy z pod oka na tę postać nienawistną, przed którą jednak trzeba jeszcze do jakiegoś czasu kark zginać. Stopień zazdrości na każdej twarzy inaczej się przedstawia: jeden patrzy jakby zdziwiony, drugi z pogardą, trzeci z filozoficzną pewnością, że dnie faworyta wkrótce się skończą, czwarty dumnie ujął się pod bok a piąty w szatach z białego atlasu ziele nienawiścią, tryska mu ona z oczu, uczała się w pięści gotowej chwycić za szpadę, która kładzie kres wszelkiemu szczęściu ludzkiemu.

Artysta znakomicie tą sceną zapowiedział groźną burzę, co wybuchnie prędzej lub później ale wybuchnie; każda z jego postaci to chmura brzemienna w zniszczenie.

Myśl do obrazu artysta zaczerpnął z życia dworskiego, które przeniknął swym talentem a nadał jej kształty doskonałe; patrząc na jego obraz pewni jesteśmy, że ostatni akt ludzkiej tragedii — „On albo my”, rozegra się krwawo.

SPACER W IRLANDYI.

Patrząc na spacer dwóch dystyngowanych kobiet, zapewne żony i córki jakiegoś land-lorda, którym towarzyszą policyanci z ostro nabita bronią—aż się zimno robi. Jak się tym paniom podobają zielone niwy, barwne kwiaty, jak im dźwięczy śpiew skowronka, skwierczenie żaby lub konika polnego... kiedy ciągle muszą myśleć o obronie w razie napadu. Eskorta wojenna dobra jest w pochodzie wojennym, w podróży przez góry zaludnione dzikim zwierzem lub rozbójnikiem, ale na spacerze, w pogodny poranek, pośród róż i motyli... nie należy chyba do szczególnych przyjemności. Jednak nie widać, żeby paniom tym straż sprawiała jaką przykrość, są one spokojne, nieco zamysłone, nieco baczne ale zarazem rozkoszują się świeżym powietrzem i pięknym widokiem. Mąż wielkiego ducha, chociaż podobno nie największy polityk, Gladston, chciał aby i ludziom i skowronkom w Irlandyi było wesoło; chciał zasiać zgodę między rządzącymi i rządzonymi — nie udała mu się jednak misja i znowu Irlandyą poddano pod prawo mocniejszego. Mieszkańcy Zielonego Erynu płacą pięknym za nadobne: wy nie chcecie nam dać wolności — my nie pozwolimy waszym żonom i córkom spacerować bezpiecznie; ząb za ząb, oko za oko.

RAPTULARZ TYGODNIOWY.

Operetka „Damy i huzary”. (*Pod adresem dyrekcji Teatrów warszawskich*) Nie myślał zapewne ojciec Fredro, że komedia jego przerobiona będzie na operetkę, a przecież tak się stało. Powieściopisarz chorwacki J. E. Tomier wykroił z „Damy i huzarów” libretto, artysta Jan Zajc skomponował muzykę a teatr w Zagrzebiu chorwackim przedstawił ją kilka razy. Operetka ma wielkie powodzenie. Czy ten kwiatek chorwackiej melodii, zaszczerpiony na pniu polskiej komedii, zobaczymy na scenie warszawskiej?

Z dziennikarstwa. Nowy Rok przysporzył kilka nowych pism. Oprócz tych, które już dawniej wymieniliśmy, powstał w Krakowie „Kuryer Krakowski” pod redakcją p. Kazimierza Bartoszewicza. Ma to być wydawnictwo w rodzaju kuryerów warszawskich a co do tendencji społecznej zupełnie bezstronne i niezależne. Znawcy potrzeb miejscowych wróżą kuryerowi wielkie powodzenie, na które głównie wpłynie talent i żywy temperament redaktora. — Księgarnia Żupańskiego w Krakowie wskrzesza upadłe wydawnictwo „Biblioteki uniwersalnej”, w dziesięcio-arkuszowych zeszytach raz na miesiąc. Biblioteka ta zawierała tylko przedruki cenniejszych dzieł naszej literatury, z czasów dawniejszych i nowszych. — P. Wiktor Czajewski w Warszawie wskrzesza „Tygodnik Powszechny”, który redagować zamierza w kierunku demokratycznym. — Lwów ma mieć swój własny organ literacki p. t. „Ruch”; czy dozna on powodzenia i czy długo się utrzyma, przesądzać trudno, bo mimo ofiarności kilku już wydawców w Galicji, dotąd żadne pismo literackie długo wyżyć tam nie mogło. — Obniżką ceny walczy „Kuryer Poznański” z „Dziennikiem Poznańskim”. — „Przyjaciół” pismo ludowe, w Toruniu, wychodzi zaczęło dwa razy na tydzień. — „Gazeta Warszawska” najstarsza z dzienników naszych, redagowana przez dziekana polskich dziennikarzy Józefa Keniga, wychodzi teraz także i w niedzielę. — Tygodnik „Pszczółka” rozszerzył program i do innych działów gospodarstwa, jak ogrodnictwo, jedwabnictwo i t. p.

Łublin posiada 1,277 zakładów handlowych i przemysłowych, więc na trzydziestu kilku mieszkańców przypada jeden zakład. Nic też dziwnego, że miasto narzeka na dotkliwy zastój w handlu i przemyśle.

Za najlepszą powiastkę dla ludu wyznaczyła znowu „Gazeta Świąteczna” nagrodę konkursową. Usiłowanie wytworzenia lub wyprowadzenia w szranki literackie nowych zdolności jest wiel-

(*) Kochowski, Klimakter IV, 227.

ce chwalebne; może też wreszcie Gazeta będzie tyle szczęśliwą, że nie tylko w kamienicy warszawskiej lub w dworze wiejskim, ale i w chacie wieśniaka lub w dworku oficjalisty znajdzie nowe siły pisarskie, których nam wielce potrzeba. Konkurs Gazeta wyluszcza w długim elaboracie; przesyłając zacnym usiłownikom — szczęście Boże, elaborat ten streszczamy:

Rubli sto (w tém jest rs. 25 od p. J. Kowerskiego, obdarzonego nagrodą na konkursie pierwszym) za napisanie takiej powiastki, która odpowie wszystkim następującym warunkom: 1) będzie roześmieszająca (humorystyczna), a zarazem pouczająca; 2) będzie napisana całkiem zrozumiale dla wiejskich i miejskich czytelników *Gazety świątecznej*; 3) będzie przydatna do drukowania w *Gazecie świątecznej* bez poprawek, a więc musi być napisana umiejętnie, poprawnie; 4) nie będzie zbyt długa, może zajmować nie więcej jak 300 do 1,000 wierszy druku, licząc po 20—24 litery na wiersz; 5) będzie napisana oryginalnie (to jest nie tłumaczona z języka obcego i nie przepisana z jakiegokolwiek książki lub gazety). Ostatni termin do nadsyłania powiastek wyznaczony na dzień 1 kwietnia 1887 roku.

P. Mieczysław Łyskowski, dyrektor banku poznańskiego „Kwilecki, Potocki i spółka”, człowiek używający wielkiej wziętości pomiędzy obywatelstwem, uchodzący dotychczas za bardzo inteligentnego i bardzo *uczciwego* głośno piętnujący postępowanie prusaków — sprzedał Komisji kolonizacyjnej majątek Radłowo, obejmujący 2,000 morgów; sprzedał nie przy ciśnięty żadną potrzebą ale zlakomiony dobrą *zapłatą*!

Ofiara artysty. Za śladem artystów, którzy ani pracy, ani mienia nie szczydzili dla ogólnego dobra, poszedł rzeźbiarz Cyprian Godebski, który ofiarował bezinteresownie dużo swoje w celu odnowienia pomnika Słowackiego, na cmentarzu Montmartre w Paryżu; czeka tylko aby ofiarność publiczna pokryła koszt marmuru lub bronzu. Czy znakomity artysta długo czekać będzie?

Fundacya. Podpisano już kontrakt kupna gruntu pod budowę zakładu dla „osieroconych chłopców”, na który to cel legował miastu Krakowowi ks. Lubomirski milion franków. Dobroczytna instytucya, fundowana przez hojnego magnata, pamiętającego co winien krajowi, niebawem wejdzie w życie.

Muzeum sztuk pięknych pod odkrytym niebem wkrótce posiadać będzie Kraków, jeżeli za przykładem d-ra Jordana i p. Wołodkiewicza pójdą inni zamożni mieszkańcy podwawelskiego grodu. Planty otaczające cudnej piękności wieńcem gród stary, z hojności d-ra Jordana zyskały już kilka grup rzeźbiarskich, pomieszczonych wśród klombów umyślnie dokoła nich urządzonych; grupy te są kamienną ilustracją dziejów lub poematów; w r. z. na plantach stanęła Grażyna. Nie porównując z sobą ofiar, bo każda z nich jest szanowną, trzeba przyznać, że sztukę piękną na plantach najświetniej reprezentuje „Bojan” rzeźbiarza Welońskiego, kupiony przez p. Wołodkiewicza za sumę jak na dar prywatny b. poważną, bo za 2,000 zł. reńskich, lecz za b. umiarkowaną w stosunku do wartości artystycznej dzieła. Po godzinach całych można się wpatrywać w wspaniałą postać starca i w chłopię chwytające uchem, oczami i sercem pieśń lirnika. Na podstawie kamienną wyryto napis: „Ku uczczeniu pamięci Bohdana Zaleskiego r. 1886”. Lepiej nie można było uczcić pamięci poety, co wyrósł na stepie. Jakże jest szczęśliwy ten, co wznosił pomnik sam, bez wołania o pomoc, zaraz jak tylko powziął zamiar. Grupa odlana z bronzu oprze się wpływowi wrogiemu dla kamienia klimatu; czemuż tego nie można powiedzieć o obrazach! Gdyby i one posiadały moc spiżu, planty ustroiłby Matejko, który dla swojego gniazda umie być szczodrobliwym.

Litwini w Medyolanie. W teatrze dal Verme grają z wielkim powodzeniem operę Ponchiello p. t. „I Lithuani” (Litwini). Libretto ułożył na tle „Konrada Wallenroda” Mickiewicza, poeta włoski Ghislanzoni. Opera ta nie jest nową, Ponchielli przedstawił ją już w r. 1874, lecz wówczas nie doznała przyjęcia przychylnego, gdyż muzyka poważna nie przypadła do smaku włoskom, lubującym się wówczas w melodyach. Dziś gdy we Włoszech nawet „Lohengrin” Wagnera doznaje powodzenia, wznowiono operę „I Lithuani” pisaną w stylu Wagnerowskim. I my mamy operę p. t. „Konrad Wallenrod”, Zelenkiego, odegraną we Lwowie przed dwoma laty.

Dar noworoczny złożony Ojcu Świętemu przez panie rzymskie stanowił wspaniały dywan, robiony przez dziesięć miesięcy w sposób oryginalny; za zaszczyt, jaki spływał na arystokraty-

czne pracownice przyjmujące udział w tkaniu dywanu, każda musiała złożyć franka. Okup ten dawał prawo do zrobienia piędziesięciu ściegów. Każda z pań chciała opłacić dziesięć, sto franków aby mieć prawo do kilkuset lub kilkuset ściegów, lecz nie każdej powiódł się ten zamiar, ponieważ zgłaszających się było tak wiele, iż musiano z żalem niejednej prośbie odmówić. Dywan do sypialni Papieża miał rozmiary ściśle ograniczone, gdyby zaś był zrobiony wedle chęci wszystkich, pokryłby całe główne schody watykańskie. Dywan wręczyły dziewice patrycyuszowskich rodzin, ubrane w suknie i welony białe.

SYN TEPICIĘŁA WILKÓW.

NOVELLA Z ANGIELSKIEGO.

(Dalszy ciąg.)

Wiele lat upłynęło; Ram Lal i Gunga zostali zapomniani, a niepokieszona matka zestarzała się w obłędzie swoim i z wypłakanymi oczyma, z koroną siwych włosów nad czołem, wyglądała jak zmore. Dzieci uciekały przed nią strwożone, a rodzice ich daremnie usiłowali usunąć ją do innej jakiej wioski. Nic jej nie zdołało nakłonić do opuszczenia obranego przez siebie miejsca. „Jeżeli się oddalę ztąd, mawiała, gdzież mnie syn mój Gunga szukać będzie, gdy powróci do domu?” albo: „Gdzież żona oczekiwać ma na powrót pana swego i małżonka, jeżeli nie tam gdzie ją zostawił?”

A gdzież był Gunga przez te wszystkie lata?

Po długiej i nużącej podróży, odbytej w towarzystwie nieznanym sobie ludzi, szczelnie przykryty wóz ciągniony białymi wołami zatrzymał się przed słynną świątynią, poświęconą czci bogini Doorgi... Kobieta cała zakwefiona, wiodąc za sobą dzieci, weszła w głąb chaty, prowadzona przez przewodnika, który torował jej drogę. Nazajutrz mały Gunga pastuszego pochodzenia, ze znakiem Brahminów na czole i na dłoniach, z srebrnym odłamkiem monety zawieszonym na szyi na święconej przędzy — sprzedany został kapłanom świątyni, jako prawy potomek brahmińskiego rodu.

Doorga bowiem, najokrutniejsza z bogiń indyjskich, rozkoszowała się widokiem łez i cierpień ludzkich. Dla zjednania sobie jej łaski, składano na ołtarzu żywe ofiary, dla jej przyjemności męczono zwierzęta dniem i nocą. Kapłanom sprawiającym obrządki w świątyni, dostarczano zdaleka kradzionych dzieci, których tajemnicze zniknięcie o rozpacz przyprawiało rodziców. Takim to sposobem mały Gunga przyłączonym został do zgromadzenia, zawczasu przyuczając się do duchownego obrządku; z postępem lat, młodociany umysł jego rozwijał się tak szybko, iż wkrótce prześcignął mistrzów swoich i po dalszą naukę udał się do innej jeszcze świątyni. Tam także zadziwił wszystkich niepospolitą bystrością swoją i niezem niezaspokojoną żądzą wiedzy, która go gnała z miejsca na miejsce, przez puszcze i zarośla, od świątyni do pustelni, gdzie tylko zasłyszał o uczonym jakim, z ust którego zaczerpnąć mógł mądrości i wiedzy jakiejś łaknął. Na wędrówkach tych upłynęło lat trzydzieści; Gunga w sile i rozwoju męskiego wieku uchodził sam teraz za jednego z najbardziej uczonych i najslawniejszych mędrców w swoim kraju. Nikt nie wiedział, że był on niezkiego chłopskiego pochodzenia, bo święconą przędzę ze srebrną przełamaną rupią całe życie swoje nosił na szyi, tak iż w końcu sam uwierzył, że rodził się z wybranej i bogom poświęconej kasty Brahminów. A jednakże często Gunga, arcykapłan Doorgi, słynny prorok świątyni Goodawezy — najświętobliwszy Brahmin na całej przestrzeni między Benares a Komorin, zatapiał się w głębokim smutku i mienił się być najniezszczęśliwszym z całej rzeszy ludzkiej.

— Dwukrotnie urodzony z dwukrotnie zrodzonego! — wołał lud, korząc się przed jego dostojnością; — a on myślał sobie z goryczą: Nie mam matki!

— O wielki synu święconej rzeki! potężny, pierworodny synu bóstwa!—witano go zewsząd, ścieląc się do stóp jego kapłańskich. A on domawiał sobie w duchu: Nie mam ojca!

I żal straszny, tęsknota bezmierna ogarniała duszę jego. Każda najbardziej upośledzona jednostka na świecie, nawet trędowaty, który przychodził do niego o zmroku, nawet żebraczka wiodąca za sobą gromadkę zgłodniałych i obdartych dzieci — wszyscy wydawali mu się godnymi zazdrości. Mieli wężły jakieś rodzinne, wspomnienia z lat młodych — wreszcie groby ojca i matki i jeden choćby, jedyny, małeńki kącik na ziemi, który droższym im był nad cały obszar świata. A on nie miał nic—nie zgola, prócz czci służalczej ludów, które chyliły się aż do ziemi, aby ucałować kraj jego szaty, prócz sławy rozbrzmiewającej daleko nad brzegami święconej rzeki, prócz wielkości, która ciążyła mu jak płaszcz z królewskiej purpury. Nie miał ojca, ani matki, ani rodzinnego domu.

I nieraz on, którego dotknięcie posiadało moc zabezpieczania budynków od działań czarnoksiężkich, on, którego czcił i wielbił naród cały, myślał sobie w duchu, że wolalby być pastuchem otoczonym rodziną niż Brahminem samotnym, na wyżynach świątobliwości swojej. Serce jego łaknęło pieśczęt macierzyńskich, które nigdy, jak zapamiętał, nie spoczęły na poświęconém jego czole; dusza rwała się do uczuć synowskich, które tęsknym echem odzywały się w głębi strasznej próżni, którą odczuwał dokoła. Lecz gdy przychodziły mu myśli podobne, wzdrygał się przed niemi jak przed pokusą. On—pastuchem?! Czyż mógłby spotkać kogo los okropniejszy od tego? — Zawdzięczać życie swoje wzgardzonemu pokoleniu... wywodzić się z poniżonej kasty... On, który gdy ukazywał się na ulicy, otoczony był tłumem ludu, co ciśnieł się by dotknąć śladów, jakie stopy kapłana zostawiły na piasku, on dla którego nikt w kraju nie był godzien wody zaczerpnąć ze studni... on miałby równać się z pastuchem, tą najnikczemniejszą na świecie istotą, na którą bóstwa i ludzie bez pogardy spojrzeć nie mogli! Na tę myśl ohydłą Gunga, upokorzony i zawstydzony przed sobą samym, modlił się i przeproszał Doorge.

Syn Ram Lala tak się stał sławnym, że gdy był w podróży, ludność całych wiosek wylegała naprzeciw niemu, a najuczeńsi z księży i najświętobliwsi z pustelników zdaleka przychodzili zasięgać jego rady. W miastach, przez które przejeżdżał, władcy i rajachowie wychodzili z całym orszakiem na spotkanie jego, prosząc by zaszczylił pałace książęce pozostając w nich jako mistrz i doradca panującego; ale Gunga nie dał się zwracać z drogi — z tej samej drogi, którą, lubo tego nie pamiętał, przebywał kiedyś dzieckiem z uwodzicielami swymi. I tak krok za krokiem, powoli zbliżał się do rodzinnej wioski i do studni, przy której stęskniona, obłąkana matka siedziała dniem i nocą, wyglądając powrotu utraczonego jedynaka.

Noc zapadła, błyszcząca gwiazdami, które na uśpioną ziemię i siola tysiące sennych spuściły blasków. Wszyscy należący do orszaku Gungi poszli spać pod drzewami, on tylko jeden, według swego zwyczaju, czuwał, modląc się do późnej nocy. A gdy tak stał w cieniu palmowego drzewa, z bladą twarzą zatopioną w gwiazdzistém niebie, zdało mu się, że wiatr nocny, szeleszczący cicho między liśćmi, niesie mu zdaleka tęskne wołanie rozżalonego niewieściego głosu: „Gunga! Gunga! Gunga!”—Wyraz ten cichym jękiem rozpaczliwie wydobywał się zdawał z łkającej, skołataną piersi, ale choć Gunga usłyszał go, wydało mu się, że to duchy z którymś obcować zwykł—przemawiają tak do niego, dlatego też, nie przerywając sobie, trwał dalej w modlitwie.

Nazajutrz ruszyli w dalszą podróż, mijając studnię, u stóp której sędziwa, obłąkana matka leżała w prochu, czekając na powrót swego syna.

Ale głos zasłyszany wśród ciszy nocy letniej nie przestawał dręczyć świątobliwego kapłana; daremnie usiłował zgłuszyć go—w każdej przerwie modlitwy czy rozmowy, słyszał go zawsze wzywający ratunku. We śnie i na jawie łkanie kobiece niesło mu rozpaczne wołanie: „Gunga! Gunga!

Gunga!”—budząc nieznany niepokój w jego duszy, który z dniem każdym wzrastał i potęgował się, pozbawiając powieki jego snu a serce swobody. Nie śmiał jednakże zwierzyć się z tém swoim kapłanom, bo byliby w prawie powiedzieć mu: „Gdzież władza twoja? Rozkazujesz duchom, a tego jednego nie możesz-że zmusić do milczenia?”

Następnego roku straszny głód padł na kraj cały, a lud tłoczył się do świątyni błagając kapłanów o pomoc. Wiele wsi okolicznych całkiem zostało opustoszozonych, drapieżne zwierzęta ścigały z gór, swobodnie żerując po gościńcach; jeden nawet ludożerczy tygrys obrał sobie legowisko tuż opodal Aheeryi.

Stara Perla, siedząca wciąż pod wyschlą od żaru słonecznego studnią i podtrzymująca życie w sobie nie wiadomo jakim sposobem, usłyszawszy o tygrysie, rozśmiała się obłąkanym śmiechem, wyzywając przechodniów:

— Czym wam nie przepowiadała, że Ram Lal powróci, i że wtedy żony wasze będą wdowami a matki bezdzietnymi?!

Lud rozżłoszczony groził, że ją zabije, ale ona nie dbała o życie.

Głód szerzył się dalej, a Gunga daremnie usiłował przebłagać Doorge, składając na jej ołtarzu tysiące krwawych ofiar. Okrutna bogini lubowała się widokiem łez i rozpaczliwej ludzkiej, to też od rana do nocy rzesze płaczącego ludu szły żalobną procesją od świątyni do rzeki, i noc jasną była od rozpalonych na piaskach pogrzebowych stosów. A jednak, choć ofiar padało tysiące, bogini zdawała się jeszcze nienasyconą—głód nie ustawał.

Gunga był w rozpaczliwej; lud szemrał przeciw niemu, cisnąc się dokoła świątyni z przekleństwem na zgłodzonych ustach. Zdawało mu się, że dla przypodobania się bogini, poświęca lud cały, nie usiłując ratować go modlitwami. Pewnego dnia, Gunga poszczący i martwiący ciało swe w sposób okrutny, stał z obnażoną pod żarzącymi promieniami słońca głową, błagając bogini by przyjęła życie jego w ofierze za lud swój. Ale czuł, że modlitwy jego utraciły moc swoją, bo umysł nie był im całkiem oddany: łkający, wycieńczony głos niewieści brzmiał bezustannie w jego uszach; i czuł, iż błaka się gdzieś po świecie duch silniejszy od niego. Wyszedł więc do tłumu i oznajmił mu, że Doorga żąda ofiary życia najznakomitszego z pomiędzy ludu i zapytał, kimby on był?

— Ty sam!—wykrzyknął lud jednogłośnie.

Kapłan podniósł dłoń, aby uciszyć piętrzące się fale głosów ludzkich, a gdy wrzawa ustała, rzekł spokojnym głosem:

— Niechaj się stanie jak powiadacie. Kapłan wasz odda życie za lud swój; ale nim dotrzymam przysięgi, muszę obezwładnić błakającego się po świecie ducha, który mieni się być silniejszym od bogini Doorgi. Jeżeli bowiem nie uczynię tego za życia, duch ten prześladować was będzie później.

Mówił to zaś, aby zyskać na czasie, bo żał mu było życia, otoczonego promienną aureolą czci i sławy. Ufał, że zanim się podobny duch odszuka, bogini da się przebłagać i daruje mu życie. Zebrawszy kapłanów w świątyni, Gunga rzekł im:

— Błaka się kędyś po świecie duch, który uraga potędze bogini naszej. Idźcie, odszukajcie go i przywieźcie związanego na ofiarę Doordze. Podróżując szybko po dwadzieścia staj dziennie, siódmego dnia staniecie w miejscu, kędy opodal wioski, na zakręcie drogi, wznosi się rozłożysta zielona palma. Księżyc będzie wtedy w pełni, a gdy staniecie pod palmą, modląc się, usłyszycie głos ducha, wołający: „Gunga! Gunga!” Idźcie za tym głosem, schwytajcie ducha, narzućcie mu pęta i przywieźcie go tutaj. Oto sznury;—idźcie i wracajcie pospiesznie!

Kapłani oddalili się, a Gunga wspólnie ze zgłodniałym ludem wyczekiwał niecierpliwie ich powrotu.

(Dokończenie nastąpi).



Przyjęcie deputacy bulgarskiej w Paryżu.—Jęj dalsza droga.—Pożyczka zaciągnięta w Londynie.—Książę Aleksander Battenberski jedzie do Egiptu.—Artykuł „Buda-Pester Correspondenz”.—Narada ministrów w Peszcie.—Wojenne rozporządzenia rządu angielskiego.—Fortyfikowanie Kopenhagi.—Środki ostrożności ze strony Hiszpanii.—Jeszcze wzmocnienie Antwerpii.—Mobilizacya w Czarnogórze.—Serbia i federacya Bałkańska.—Prasa niemiecka o położeniu obecnym.—Artykuł dziennika paryżkiego „Matin”.—Bismark w parlamencie.

Długie depesze o rozmowie nowego ministra francuzkiego spraw zagranicznych Flourens'a z deputatami bulgarskimi są istną stratą czasu i atłasu. Nikt chyba nie wątpił, że deputacya będzie przyjęta w Paryżu nieprzychylnie, dziwić się też tylko należy, po co tam jeździła? chyba, że chodziło jęj o dopełnienie form grzeczności. Dalej jeszcze od p. Flourens'a poszły „Debaty”, które w artykule napisanym z powodu przybycia i posłuchania deputacy bulgarskiej, odmawiają zupełnie bulgarom zdolności do życia samoistnego i oskarżają ich o złamanie pod wielu względami warunków traktatu berlińskiego. Między innemi „Debaty” wyrabiają bulgarom niezburzenie twierdz naddunajskich, obrażając powyższy traktat, a które tak upartem pokrywano milczeniem, dopóki zburzenie jedynie w interesie Porty leżało.

Niepolitycznym, tém bardziej że bezpodstawnem było odgrazanie się jednego z członków deputacy w rozmowie z reporterem dziennika „Matin”, że bulgarzy, którzy dla miłości pokoju wyrzekli się dawniej kandydatury, jeżeli doprowadzeni zostaną do ostateczności, obiorą sobie księcia Aleksandra Battenberskiego. O ile z tą pogrozką pozostaje w związku wieść o podróży księcia Aleksandra do Egiptu, jakoby z woli „wyższej”, nie wiadomo.

Deputacya nie tak bardzo prawdopodobnie przynębiona niełaską Flourens'a jak utrzymują francuzkie dzienniki, zaciągawszy w Londynie u wielkiej firmy bankierskiej „Bracia Baring” 800,000 f. szt. pożyczki, udaje się do Rzymu a następnie do Bukaresztu i Konstantynopola.

Dziwnie sensacyjne wrażenie wywołał artykuł, wyglądający na komunikat, w „Buda-Pester-Correspondenz”, który po licznych zastrzeżeniach pokojowych, radzi jednak nie zwlekać z zaopatrzeniem w zapasy żywności prowincyj, mogących się stać teatrem wojny. Radzie tej i artykułowi usiłowano potem odjąć znaczenie, tłumacząc, że on odnosi się nie do chwili obecnej lecz do przeszłości, gdyż zaopatrzenie, o którym mówi, oddawna już zostało dokonaniem. Ale tłumaczenie to właściwie nie tłumaczy; owszem, ponieważ niepodobna przypuszczać, aby organ tak wysoce półurzędowy nie wiedział w jakim stanie znajduje się zaprowiantowanie prowincyj, o które chodzi, tém dziwniej wygląda, że właśnie udaje niewiedzącego i ni ztąd ni zowąd kwestyą zaprowiantowania porusza.

Nie można też odmówić znaczenia jednoczesności faktu odbycia wielkiej narady ministeryalnej w Peszcie, na której było trzech ministrów skarbu i trzech ministrów wojny. Zresztą w Peszcie zarządzono spis koni i wozów, a do fabrykantów w Gratzu rząd wysłał zapytanie, ile namiotów wojskowych w danym czasie dostarczyć są w stanie.

Charakterystyczniejszą jest jeszcze ta okoliczność, że jednocześnie w Anglii ministeryum wojny wydało rozkaz gwardyi królewskiej, aby się w każdej chwili miała w gotowości do pochodu, a admiralicya poleciła okrętom w portach wojennych, aby były w pogotowiu do przewozu wojska.

Rząd duński, mimo opozycyi stronnictwa ultra-liberalnego, postanowił przystąpić do ufortyfikowania Kopenhagi i wezwał generała Brialmont, w celu zasiągnięcia rad jego w tej mierze. Jest to ten sam generał inżynieryi, który wznosił sławne fortyfikacye Antwerpii i nakreślił plan obwarowania Bukaresztu. Armia duńska lada chwilę otrzyma karabiny repetierowe.

Nawet Hiszpania, która od śmierci króla Alfonsa XII zaniechała mieszania się do spraw europejskich, o co bardzo dbał król nieboszczyk, i spokojnie przypatrywała się dotąd niepokojom wstrząsającym resztą Europy, obudziła się dzisiaj i także przedsięwzię kroki ostrożności, między którymi na pierwszym miejscu stoi silniejsze uzbrojenie portu Mahon i zaopatrzenie w środki i siły obronne wysp Balearskich.

Potężne uzbrojenia Antwerpii rząd belgijski wzmacnia wzniesieniem nowych 26 fortów; słyhać o stawianiu na stopie wojennej armii czarnogórskiej, a z drugiej strony nie ustają zabiegi około doprowadzenia do skutku konfederacyi państw Bałkańskich, w których to robotach rój wiedzy Serbia, popierana prawdopodobnie przez Austryę.

Półurzędowa prasa berlińska przedstawia położenie w świecie pesymistycznym; pierwszorzędne tamtejsze dzienniki donoszą ciągle o rzekomych uzbrojeniach Rosssyi, a zostająca, jak wiadomo, w blizkich stosunkach z rządem „Gazeta Kolońska” zwraca uwagę na artykuł w dzienniku francuzkim „Matin” zamieszczony, nadesłany przez rossyanina, a o którym organ koloński twierdzi, iż trafnie przedstawia zapatrywania rossyjskiej opinii publicznej. Artykuł ten zapowiada na rok bieżący wojnę Rosssyi—z Niemcami. „Niemcy—powiada autor—w Rosssyi bardziej są znienawidzeni niż we Francyi; rachunki więc między dwoma państwami muszą być załatwione. W r. 1886 walka odroczone została dlatego, że Niemcy, wbrew sprzymierzeńcowi swemu Austryi, przyznały Rosssyi swobodę akcyi w Bulgaryi—zato w r. 1887 wybuch wojny nastąpił tempiezawodniej. Rosssya jest teraz doskonale uzbrojona, może zatem rozmówić się stanowczo z kanclerzem niemieckim.”

Z nadesłanych w tej chwili sprawozdań telegraficznych, z mowy mianej przez ks. Bismarka w parlamencie niemieckim, niepodobna dotąd wynioskować, czy ma ona charakter wojenny, czy pokojowy. I ks. Bismark i hr. Moltke w mowach swoich ostrze wymierzili przeciw Francyi, tylko przeciw Francyi, zapewniając o najgłębszej przyjaźni z Rosssyą i Austryą, a wypierając się Bulgaryi, jako puchu marnego, o który Niemcy nie dbają. Komedya to czy prawda? Któż umie odpowiedzieć!



600) ODPOWIEDZ na pytanie: Czem są sny i czy można z nich przyszłość przepowiedzieć?

W czasach, kiedy nauki na niskim stały stopniu, kiedy wiedza więcej na zgadywaniu, niż na doświadczeniu się opierała — musieli ludzie fałszywie sny tłumaczyć i mylnie z nich wnioski wysnuwać. Wiercono, że sny przepowiadają przyszłość; wrażliwi zaś śniąc o zmarłych, krewnych, wmawiali w siebie, że widzieli nieboszczyka na jawie.

Takim jest początek wiary w upiory i strachy.

Sny nie są niczem innem, jak tylko skutkiem myślenia, gdyż umysł nasz pracuje nawet wtedy gdy śpimy.

W chwili usypiania, wszystkie ważniejsze organa życiowe również usypiają a drażliwość systemu nerwowego znacznie słabnie. Oblicze człowieka zarumienia się, z mózgu zaś krew zwykle ustępuje.

Słynny przyrodnik Blumenbach badał młodzieńca, który miał rozłupaną czaszkę, i zauważył, że w czasie spania mózg młodzieńca nie funkcjonował. Angielski profesor anatomii, Henry Durham, odjął psu pokrywę czaszki i zamiast niej wstawił płytę szklaną, aby w ten sposób mógł badać działanie mózgu. Przekonał się, że skoro tylko pies spał twardo, mózg się uspokajał, naczynia krwionośne bładły, a krew, która w nich się zawierała, zniknęła. Dla większej pewności próbował Durham psa nagle narkotycznie uspić, a ile razy to zrobił, mózg psa zmieniał się natychmiast.

U człowieka w czasie snu zmniejsza się liczba uderzenia pulsu przeciętnie o piątą część.

W czasie twardego snu człowiek nie śni. Senne marzenia wymagają bowiem pewnej, chociażby słabej czynności umysłu, możności przypominania sobie ludzi albo rzeczy, o którychby śpiący człowiek mógł myśleć. Podczas twardego snu usypia także i umysł zupełnie, a człowiek nie myśli.

Przekonano się dalej, że ludzie którzy mają umysł spokojny a temperament umiarkowany, śnią rzadziej niż rozdrażnieni, nerwowi.

Łatwo zgadnąć, czy człowiek śpiący ma sen miły, czy nieprzyjemny, gdyż wrażenia snu odbijają się na jego twarzy.

Że śnią się nam często rzeczy niedorzeczne pochodzi to ztąd, iż rozum nasz w czasie snu słabnie; nie możemy zatem marzeń naszych kontrolować i oddalać od siebie myśli nierozumnych, obrazów niemożliwych, czyli nie możemy rozsądnie śnić, a właściwie rozsądnie myśleć.

Sny parodują rzeczywistość i przedstawiają nam postaci i zdarzenia podobne do tych, o jakich marzą ludzie magnetyzowani. Nie mamy bowiem władzy oryentowania się, rozważania i dowodzenia a niewygodna pozycya ciała wystarcza, aby człowiek miał sny niemiłe i dręczące. Przed umysłem naszym prze-

suwają się najrozmaitsze sceny, jakby obrazki w kalejdoskopie. Znajdujemy się wśród działających w tych scenach osób i tak jak one popielniamy różne niedorzeczności.

Sully kazał swemu sekretarzowi wpływać na swoje sny; gdy sekretarz pościągł go w czasie snu baczkiem za ucho — Sullemu śniły się bitwy, dzwonięcia na pożar i t. d.; gdy mu zaś kwiat pod nos podetknął — śniło mu się, że jest na łące albo w aptece. Raz wziął go sekretarz lekko za rękę a Sullemu śniło się równocześnie, że ktoś przemocą starą się go związać.

Stwierdzono, że sny wywierają nawet pewien wpływ na nasze ciało.

Anatom Wundt zauważył, że człowiek, któremu śni się, iż spadł w przepaść, ma lekko wyprężoną nogę.

Grüthuisenowi śniło się, że patrzył na fioletowy płomień a po przebudzeniu się widział ciągle wielki punkt żółty, co pochodziło ze znużenia oka.

Boerner przykrył raz nos i usta swęj żonie cienką chustką; po przebudzeniu żaliła się, że coś ją w noce ugniatało i jakieś straszliwe zwierzę chciało się usadowić na jej twarzy.

Gdy śni się komu, że ząb mu wyrwano, to podług prostaczków sen ten zapowiada śmierć jakiegoś członka rodziny śpiącego. Naukowe badania stwierdziły, że sen powyższy wywołany został bólem zęba słabym o tyle, że śpiący się nie obudził.

Do takich to rezultatów doprowadziły naukowe badania nad snami i ich przyczyną. Sny zatem nigdy przyszłości nie przepowiadają a wróżenie z nich świadczy tylko o braku wykształcenia.

601) PYTANIE: Czy zwierzęta mogą się tak długo obejść bez pokarmu jak człowiek?

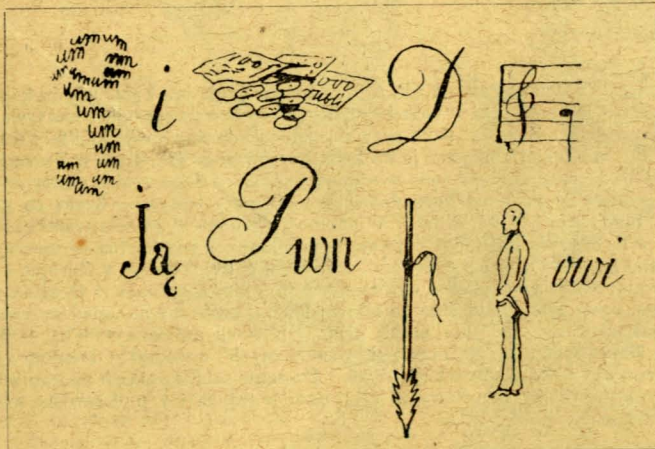
Ze skarbca prawd. Wiek uczy wątpić, doświadczenie nie ufać.

Zadanie matematyczne z N-ru 52.

3	2	8	6	7	1	4	9	5
8	4	6	7	5	2	9	1	3
5	8	1	3	2	9	7	6	4
4	5	9	2	3	8	6	7	1
1	3	4	8	9	6	5	2	7
9	1	5	4	6	7	2	3	8
6	7	3	9	1	5	8	4	2
7	6	2	1	8	4	3	5	9
2	9	7	5	4	3	1	8	6

Nazwiska nagrodzonych i w ogóle wszystkich, którzy nadesłali rozwiązanie dobre lecz spóźnione, pomieszczone będą w przyszłym numerze.

R E B U S.



Rebus z N-ru 1. Zabawa nie jest celem życia.

Bankier mający się za artystę, pisząc do Liszta użył wyrażenia: „Mój drogi kolego”.
Liszt mu odpisał: „Mylisz się pan—bankierem nigdy nie byłem”.

— Proszę tatki, co to jest *blaga*?

— Blaga, moja Julciu, jest to czułość żony, która ciągle mówi, że kocha swego męża a nie przyszyje mu nigdy guziczka do koszuli i nie dba o jego wygodę.

Zajęcie.

— Twoje nazwisko, hultaju?

— Poco się panu sędzia pyta, kiedy nazywa mnie po imieniu.

— Twoje zajęcie?—wola sędzia zniciępliwny.

— Doprowadzam pana sędziego do desperacji.

JAK SOBIE RADZIĆ.

Wzmocnienie dziąseł. Łyżeczkę tynktury z miry wlać do szklanki letniej wody i tym usta codziennie wypłukiwać. Używają w tym celu także wody zwanej Anatherinową, lecz jest ona na codzienny użytek za drogą.

Rolnictwo, przemysł, giełda.

Po świętach szczęśliwy wiatr zawiął na stosunki handlu zbożowego. Za przykładem Ameryki, gdzie ceny od jakiegoś już czasu idą ciągle w górę, i europejskie rynki okazują usposobienie bardzo mocne i dążność do wyższości, który to prąd potęgują jeszcze trudności dowozu, z powodu zasp śnieżnych. Ze wszystkich rynków, zarówno angielskich jak francuskich, austriackich i niemieckich nadechodzą dobre wiadomości; z jednego Berlina donoszą tylko, że pod koniec tygodnia dążność nieco osłabła; objaw to jednak prawdopodobnie tylko chwilowy. Rosyjski wywóz nie wzmógł się tak, jakby się tego spodziewać należało, gdyż miejscowi posiadacze ziarna, jednocześnie z poskoczeniem w górę cen zagranicą, podnieśli swoje żądania, tak, że dawny stosunek nie uległ wskutek tego żadnej zmianie. Na naszych targach, z powodu trudności dowozu i wyczerpania się przez święta zapasu u młynarzy, ziarno skwapliwych znajdowało nabywców i ceny się podniosły.

Warszawa, d. 12 stycznia 1887 r. 5¹/₂ Listy Zast. (za rs. 100) 101 25.—Listy Zast. ser. II lit. A. 101.25.—Listy Zast. ser. III lit. A. 101.25.—Listy Zast. M. W. I ser. 100.—Listy Zast. M. W. II ser. 99.50.—Listy Zast. M. W. III ser. 99.—Listy likwidacyjne Król. Pol. 94 80.—Marka niem. kop. 50; złoty reński kop. 86; frank k. 42.

Targ Warszawski. Za korzec: Pszenica rs. 7 k. 70.—Żyto rs. 5 k. 50.—Jęczmień rs. 4 k. 10.—Owies rs. 2.85.—Groch rs. 5 k. 10.
— na stacyi Praga. Za pud: Pszenica rs. 1 k. 21.—Żyto kop. 87.—Jęczmień kop. 89.—Owies kop. 85.—Groch kop. 90.—Gryka kop. 75.



Zbytki rzymianek. (P. A. S. w Ostrołęce.) Szlachetne jest oburzenie sz. pani na marnotrawnicę i elegantki, lecz nie można nazywać naszego społeczeństwa zginięciem do szpiku kości, najgorszym, boć są społeczeństwa znacznie gorsze od nas a już na wiele wieków przed nami szkoła zbytków kwitła w starożytnym Rzymie. Rzym upadł przez zniewieścialsłość mężczyzn ale zgubiła go także lekkomyślność kobiet, która idzie w parze z tchórzostwem mężów i braci. Dość jest zajrzeć do Lucjana, aby zobaczyć upadek moralny kobiety rzymskiej, która przestawszy być obywatelką, matką i żoną—została tylko papugą. Wątpiąc ażeby w Ostrołęce znalazł się satyryk Lucyan, przytaczamy kilka szczegółów z życia rzymianek, nad których cnotą tak się pani unosisz.

Ktoby rzymiankę zobaczył w chwili, kiedy budzi się z rannego snu, sądziłby, że ma przed sobą kota morskiego, albo pawiana, z którym spotkanie przy wyjściu z domu uważamy za złą wroźbę. W porze tej elegantki wszystkie zamykają się starannie, a służące smarują je różnemi maściami i proszkami i pociągają tynkturami kolorowemi. Każda ze slug i pokojowych przynosi inną część toalety; jedna przynosi srebrną miednicę, druga wagę, trzecia polewaczkę, znow inna zwierciadło i puszkę. Wszystko to zawiera tylko kłamstwo i oszukaństwo: w jednej zęby i dziąsła, w drugiej czarne brwi i rzęsy i tym podobne speyfiki. Najwięcej jednak czasu zużywają przy czesaniu włosów. Niektóre swój czarny włos zamieniają na jasny, albo złotożółty, malują go maściami, które następnie na słońcu zasuszają. Inne znow ogrzewają żelazka przy płomieniu aby zrobić kręte loczki, ściągają włosy nizko na czoło, prawie aż do brwi, a z tyłu rozpuszczają loki aż na barki.

Gdy rzymianka o godz. 11 rano opuszczała swe łóżce, oblicze jej pokryte było masą ochronną, która miała bronić delikatności pici. Wtedy z pośród niewolnic przystępowała do niej jedna, zdejmowała z twarzy swęj pani powłokę i zmywała ją mlekiem oślém. Twarz w ten sposób mlekiem oczyszczoną pocierano kulkami z mydła i esencjami, aby skórę uczynić gładką i lśniącą. Współczesnik Cicerona, Varro, maść taką usuwającą zmarszczki nazywa w swych satyrach pocięglem, którym szewe wyciągniętą skórę do kopyta przybijają. Zadaniem drugiej niewolnicy było umyte i wygładzone policzki pani pomalować na białe i czerwono.

Gdy która z niewolnic była tak nieszczęśliwą, że czy to przy fryzowaniu, czy przy ubieraniu okazała się nie dość zręczną, otrzymywała surowe kary. Pani chwytła wówczas zwierciadło z polerowanego srebra, rzuciła je nieszczęśliwej na głowę, targała jej włosy i uszy, twarz paznogciami drapała i krawiła. Czasami gniew swój posuwała pani tak daleko, że szpilką od włosów kłula niewolnicę, aż krew tryskała. Były nawet panie, które niewolnicom swym kazały się aż do bioder obnażać, aby je tym dotkliwiej mogły karać; kazały je przywiązywać do słupa, albo za włosy wieszać i tak dopiero bić rzemieniami, ciało kaleczyć. To wszystko działo się w obecności pani, która wśród woni ambry, miry i innych pachnidel, strojem się swym zajmowała.

Największy zbytek rzymianek polegał na noszeniu klejnotów. Ramiona swe, palce, uszy stroiły w złoto i złote łańcuchy, na piersi ich spoczywały naszyjniki ze szmaragdów, dyamentów i pereł. Ręce okrywały pierścieniami, wysadzane drogiemi kamieniami, ramiona zaś naramiennikami w kształcie złotych węzłów, które ważyły nieraz sześć do dziesięciu funtów rzymskich. Wiele kobiet wieszało w uszach po dwa, albo i trzy koleczyki, dźwięk których sprawiał im wielką przyjemność; czuły się zaś bardzo szczęśliwymi, jeżeli koleczyki ich stanowiły wartość dwóch albo trzech posiadłości wiejskich lub domów w Rzymie.

Post-scriptum.

Dr. J. Łukaszewski w J. Wszystkie życzenia spełnimy z ochotą. Niech Bóg pomaga. — **P. T. Duszyńska w Fuldzie.** Za wiadomości bolesne dziękujemy, lecz korzystać z nich nie będziemy; na co dolewać trucizny wiedząc, że ona nie uleczy. Prosimy upoważnić kogo w Warszawie do odebrania honorarium. — **Pannie S... w Mogilnicy.** Chcąc uniknąć plotek, najlepiej nie dawać do nich żadnego powodu, a jeżeli i wówczas nawet języki ludzkie będą w ruchu, to dać im czas na wygadanie się... zmęczone wreszcie ustana. Odcinanie się najwięcej pochwlebia półgłówkom. Nie wiedzieliśmy, że i w Mogilnicy są łwiątki, myśleliśmy, że młodzi tamtejsza więcej warta niż lamparterya warszawska.

PRZEWODNIK.

Wystawa sztuki Dekoracyjnej otwartą zostanie d. 1 marca r. b.; obejmie przedmioty w różnych stylach aż do pierwszego Cesarstwa włącznie, oraz przedmioty epoki dzisiejszej, które zalecają się cechą artystyczną. — Przyjmowane będą na wystawę wszelkie wzory odnoszące się do architektury stylowej, sztuki, malarstwa, rzeźbiarstwa, tapicerstwa, brzoźnictwa, ślusarstwa, kowalstwa, stolarstwa, ramiarstwa, pozłotnictwa, nadto szkło, porcelana, ceramika oraz wyroby innych rzemiosł zastosowanych do sztuki. — Przyjmowane będą także przedmioty starożytne i zagraniczne, służyć mogące jako wzory niepodchodzące pod konkurs. — Pragnący uczestniczyć w Wystawie zechcą złożyć 1) Rs. 30, jako kaucyę, która z końcem wystawy zwróconą będzie o ile wydatki zostaną pokryte z dochodu, i 2) Deklaracyą na ręce p. Stanisława Brzozowskiego, rządcy domu hr. W. Walewskiego, w Alei Jerozolimskiej n-r 25, pomiędzy gołziną 9 z rana a 1-szą z południa, a to najdalej do d. 20 stycznia r. b. — Bliższych objaśnień udzieli hr. W. Walewski, Bracka n-r 18, od 10 do 11-jej z rana, lub p. Olszyński, Oboźna n-r 7, od 3 do 5-jej z południa. — Czysty dochód osiągnięty z Wystawy przeznacza

dzicielska. — **P. K. Połaniecki** w P. Tylko tyle wiemy, że pismo to przestało wychodzić, inne okoliczności są nam nieznane. Nie mieliśmy z nim żadnych stosunków. Wydawca przyjmując prenumeratę staje się d'uznikiem prenumeratora, jest więc odpowiedzialnym wobec prawa. — **P. S. Ustowski** w K. Ten płaci po rs. 1 k. 50 za portret, kto kupuje jeden egzemplarz, kto zaś od razu nabywa egzemplarzy cztery płaci za wszystkie tylko rs. 4, za pięć rs. 5 i t. d.; kosztów przesyłki nie ponosi. Sz. pan za rs. 8 otrzyma wszystkie portrety żądane; czy je przysłać teraz, czy czekać aż będzie gotowy portret J. I. Kraszewskiego? — **A. Zajackowski** w S. Premium wysłamy jak tylko je otrzymamy. — **P. E. Boryszewski** w O. Książki wysłaliśmy, nie licząc pora; także prospekta żądane pod oddzielną opaską. O premium nie zapomnimy. — **P. M. Orzechowski** w B. Powieść „Ojciec” skończyła się w kwartale IV 1885 r. Zlecenia wszystkie załatwione. — **P. M. Szostacki** w H. Kop. 20; można markami. — **P. W. Steinbrich** w P. Rs. 2 k. 15 z przesyłką. — **P. M. Witkiewiczowa** w S. Portret Kościuszki nie jest naszą własnością, więc i zamiana na premium niemożliwa. „Trzysta portretów” wyczerpane; „Świat”, z przesyłką, rs. 2. Możemy przesłać. Kop. 50 na premium nie otrzymaliśmy. — **Dr. S. K. w Korsuniu**. Miesięcznik „Wisła” jeszcze nie ogłosił warunków



Spacer w Irlandyi.

się na cele dobroczynne, oraz nagrody pieniężne dla wystawców, konkursu i zakupy cenniejszych przedmiotów.

Komitet Towarzystwa Zachęty sztuk pięknych w Królestwie Polskim ogłasza niniejszem dla p. p. artystów-malarzy i rzeźbiarzy krajowych. **Konkurs** z zapisu ś. p. Józefa Kuryerowa, niegdy obywatela m. Warszawy. Nagroda rs. 360 przyznana będzie autorowi obrazu olejnego lub rzeźby, oryginalnych, osnutych na swojskim temacie i wybitnie odznaczających się pod względem artystycznym. W braku takiego dzieła, Komitet rozdzieli ją na dwie nagrody, dla najlepszych z przedstawionych dzieł, oryginalnych i tematu swojskiego. Dzieło nagrodzone pozostaje własnością autora. Pragnący ubiegać się o nagrodę, winni nadesłać po jednym obrazie olejnym w ramach lub po jednej rzeźbie do lokalu Wystawy towarzystwa, najdalej do d. 15 marca 1887 r. Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi w dniu 19 marca 1887 r.

P. E. Kurdwanowska w P. Szkoła hr. Cecylii Plater-Zyberkówny mieści się przy ulicy Pięknej; całkowite utrzymanie, z nauką, pomieszkaniem i t. p., rs. 200 rocznie; uczennice uboższe doznają pewnych ulg w opłacie. Opieka ro-

prenumeraty. — **Suez i Panama**. (P. A. B. w Lucku.) Jaki jest kurs obligów kanałów Suezkiego i Panama nikt w naszej redakcyi nie wie a nawet nikt z nas tych obligów nie widział. Zkąd sz. panu przyszła ochota lokować swoje kapitały tak daleko? Czy nie lepiej ulokować je na kanalizacji warszawskiej lub w Zwierzyńcu. Kanały nasze przypominać będą oba międzymorza a Zwierzyńiec nastroczy tyle przyjemności ile pustynie nawiedzone przez dzikie bestye. — **Szyny ze szkła**. (J. L. inżynierowi w Moskwie.) Wiadomość, podana w gazecie francuskiej, że koleje w Królestwie Polskiem używają szyn szklanych jest błędną — nawet prób z takimi szynami u nas nie robiono. Nie wiemy, które koleje w Europie z nich korzystają, czytaliśmy tylko w ogłoszeniach że odlewnie żelaza w Dreźnie, p. F. Siemsa, robią próby pomyślnie ze szkłem lanem, które ma posiadać wytrzymałość taką jak żelazo a znacznie mniej ulega wpływom atmosferycznym. — **D-r J. Usz** w Maryampolu. Skład „przyrządów sanitarnych” otworzył p. Doultou i Spl., w Warszawie, przy ul. Brackiej n-r 25. Dostanie tam wszelkich aparatów chemicznych, wyrobów fajansowych, tygli ogniotrwałych i t. p. Nazwisko właściciela wskazuje cudzoziemca.

Treść numeru 576 Biesiady Literackiej, ilustracji warszawskiej: Z Warszawy. — Herb na giełdzie, powieść Jana Zacharyasiewicza (d. c.) — Joanna d'Arc na stosie. — Wystawa w Muzeum przemysłu i rolnictwa. — On albo my! — Spacer w Irlandyi. — Świtez i Świtez. — Zakładnicy lwowscy (1672), przez D-ra J. (d. c.) — Raptularz tygodniowy. — Syn łępiecia wilków, nowella (d. c.) — Listy polityczne. — Czém są sny i czy można z nich przyszłość przepowiedzieć? — Ze skarbcia prawd. — Rozwiązanie Zadania. — Humorystka — Jak sobie radzić. — Rolnictwo, przemysł, giełda. — Gazetka. — Post-scriptum. — Przewodnik. — *Rysunki:* Joanna d'Arc na stosie. (Obraz G. Maxa). — On albo my! (Obraz Leroix). — Wystawa w Muzeum przemysłu i rolnictwa. — Spacer w Irlandyi. — Rebus. — „Dodatek powieściowy” zawiera powieść z dziejów Hiszpanii: **Maurytanka**, arkusz 2.

Cena prenumeracyjna w Warszawie: rocznie rs. 5; półrocznie rs. 2 kop. 50; kwartalnie rs. 1 kop. 25. Na prowincyi i w Cesarstwie: rocznie rs. 6; półrocznie rs. 3; kwartalnie rs. 1 kop. 50. Za dodatek książkowy z powieścią historyczną należy się jednorazowo rs. 1 kop. 50, z przesyłką rs. 2; lub ratami kwartalnymi po kop. 38; z przesyłką kop. 50. Prenumerata zagranicą jest taka sama; potrzeba tylko ruble i kopiejki zamienić na monety obce, przyjmując kop. 50 za markę a kop. 80 za złoty reński. Prenumeratę nadsyłać można wprost do naszej redakcyi w monecie krajowej lub obcej. Sumy drobne przyjmujemy w markach. Cena numeru pojedynczego kop. 15, z Dodatkiem kop. 20. Za zmianę drukowanego adresu kop. 20. Za rękopisma nadsyłane bez zastrzeżenia zwrotu Redakcyja nie odpowiada.

Adres: Księgarnia i Redakcyja Biesiady Literackiej w Warszawie, ulica Chmielna Nr 26.

Дозволено Цензурою. Варшава, 31 Декабря 1886. — Biesiada Literacka wychodzi w każdy Piątek. — Druk Emila Skińskiego, Warszawa, Chmielna № 26.

Biuro Redaktora - Wydawcy Władysława Maleszewskiego: Chmielna Nr 26.

Z WARSZAWY.

Zabawki dzieciinne i nasz przemysł.—„Przegląd pedagogiczny”.—„Gazeta Rzemieślnicza”.—Wystawa sztuki dekoracyjnej.—Fałszowane antyki.—Nagana dla szkoły p. p. N. J. i uniewinnienie.—P. S. ślusarz-artysta.—Romeo i Julia z kurnika.—Tendencja czy żart?—Wyroby ze słomy i włókna drzewnego.—Pantofelki i krawaty ze słomy.—Chłopki z paluszkami boginek.—Dyrektor blagier.—Bazar w Mińsku i hojna ofiara.—„Ojciec sierot”.

Piszemy i radzimy od lat kilku o fabryce zabawek i drobiazgów paryżkich, a tymczasem postęp w tym względzie nie posunął się ani na krok za fabrykacją drewnianych koników i młynków dyabelskich, domków, wózków i gołębników grubo ciosanych; z drobiazgami zaś paryżkami odważyły się konkurować tylko miejscowe portmonetki, pudełka z cukierkami i paczki pierników poowijane w kolorowe strzepki. Natomiast przywóz zabawek z zagranicy wzrasta ciągle i cudzoziemczyzna nawet tą drogą szerzy się w ogniskach rodzinnych.

Cudzoziemcy chcą towar wyrabiać z największą korzyścią, używają do zabawek farb najtańszych ale zarazem szkodliwych dla maleństwa, które musi dach czerwony liźnąć językiem lub paluszek powalany farbą włożyć do buzi, aby się przekonać... że to wszystko prawda. Czytaliśmy w kurjerach o wypadkach otrucia zabawkami: jedno dziecko zachorowało od czerwonego karmelka, inne od pocałowania zielonego pudła, a inne od spania z lalką wystrojoną w tiule napojone trucizną.

Niektórzy rodzice są tak niedbali, że idzie im tylko o załatwienie się z tradycją jak z pańszczyzną, kupują więc zabawki w pierwszym lepszym sklepie nie zważając na ich treść, na ich kolor, bez względu czy one zaszkodzą dziecku pod względem moralnym i fizycznym. A tak łatwo spostrzedz wpływ, jaki na dziecko wywierają zabawki; — dziewczynka obstawiona na kolendę samemi chinkami, nazajutrz będzie sobie nóżki krępowała tasienką i włosy zczesywała w tył głowy; ta co prześpi noc jedną i drugą z bogatą królową — niechętnie ubierać się będzie w sukienkę zwyczajną, a chłopiec zaprzyjaźniony z rozbójnikami morskimi będzie rozbijał szklanki i siostrzyczki, otoczony zaś ludźmi ze świata obcego uwierzy, że nasz chłopiec wygląda jak japończyk a kościółek wiejski jak zamek na szkockiej skale.

„Przegląd Pedagogiczny”, który tak troskliwie dopomaga wychowawcom i rodzicom, zapowiedział na ten rok szeroki program nauczycielstwa, w którym znajdzie się niewątpliwie i ta ważna gałąź pedagogii. Przeglądowi pomoże „Gazeta Rzemieślnicza”, redagowana coraz lepiej, coraz zasobniejsza w artykuły i w rysunki, oraz w podręczniki naukowe.

Gazeta wychodząca pod hasłem „praca i nauka” jest dobrodziejstwem dla naszych rzemieślników, byle oni chcieli z niej korzystać; noworoczny numer przyniósł nowość: tablicę z rysunkiem biblioteki — wzór gustowny, rysunek czysty może służyć stolarzowi na prowincyi, który nie miał sposobności widzieć coś lepszego nad meble używane przez całe miasto i okolice od niepamiętnych czasów. Takie rysunki będą dołączane i z innych rzemiosł; powoli więc z podręcznikami naukowymi złożą one biblioteczkę niezamożnego a inteligentnego człowieka. W komitecie redakcyjnym Gazety zasiada kilkunastu przemysłowców i kupców warszawskich — pomoc ich jest widoczną i w treści pisma i w jego zasobności. Tą służbą nie odparady popierają oni sprawę „Szkoły rzemiosł”, utrzymywanej także ofiarnością obywateli a wzorowo kierowaną przez dyrektora Kühna. Kto nie może korzystać z dobrodziejstwa publicznej szkoły, będącej pniem każdego wychowania, ten czytając Gazetę skorzysta przynajmniej z naukowych konarów.

Niepodobna przejść do innego przedmiotu bez zatrzymania się przed wystawą „Sztuki dekoracyjnej”, zapowiedzianą na d. 1 marca r. b. przez W. hr. Walewskiego; ale za jakąż karę mielibyśmy sobie odmawiać przyjemności spojrzeć na rzecz doskonałą? — mówimy doskonałą, bo sz. inicjator przyzwyczaił nas do tego, że co obmyśli i wykona jest doskonałym o ile przymiot ten w naszych warunkach jest możliwym. Program nie dościsł jasno mówi, czy wystawione będą tylko przedmioty do sprzedania, czy też także sprzęty z zamożnych domów, bogatych kredensów — czy to będzie tylko jarmark czy zarazem muzeum; na muzeum

dzwonimy. Zebraloby się jeszcze sporo bogatych sprzętów a upilnowanie srebrnego półmiska, tarczy wykutej, roztruchana kryształowego, rogu myśliwskiego oprawnego w koral, naparstka z drogocenną kameą... łatwiejsze jest od dopilnowania brylantów i pereł, któreśmy mieli także oglądać na wystawie publicznej.

Kto z naszych czytelników ma coś do wysłania na wystawę dekoracyjną, ten znajdzie informację w naszym Przewodniku; tu zachęcamy do najliczniejszego udziału w tej pożytecznej konkurencji i zapewniamy, że nawet najdelikatniejsze wyroby i najkosztowniejsze cacka powrócą do właścicieli, jakby podróż tam i napowrót odbyły w wacie.

Dziwnie u nas się dzieje; kiedy zagranicą wielki przemysł toruje zdolnościom i talentom drogę, u nas wielki przemysł nie istnieje wcale, a drobny nie ma odwagi rozpocząć coś nowego i ustępuje z drogi amatorom a nawet słabym kobietom. Amatorowie i kobiety zaczęli konkurować porcelaną malowaną i już wydierają kupcom obcym corocznie po jakie kilka tysięcy rubli; sumka to jeszcze mała, ale pierwszy zarobek rośnie jak lawina.

Na wystawie szkiców, na wystawie w Muzeum rozkupiono prawie wszystkie potrzebne i niepotrzebne skorupki malowane, robótki szydełkowe, dywany ręczne, meble naśladowe wybornie antyki... Niech nam panny Nostitz Jackowskie przebaczą, że zarzucamy im postępki wielce oburzające — fałszowanie starych sprzętów z taką dokładnością, iż jakiś znawca archeolog założył się o szafeczkę z wypalanymi na drzewie figurami — i przegrał; ja zaś musiałbym użyć scyzoryka, aby się przekonać, że drzewo z którego mebelki zrobiono, jest ścięte w roku zeszłym, chociaż ma wygląd masztu z czasów Kolumba. Ale publiczność była mniej od nas surowa, bo nie zważając, że szkoła szanownych wystawczyń wychowuje artystycznych fałszerzy — całą ich wystawę rozkupiła i porobiła zamówień mnóstwo. Wobec faktu i ja zarzut swój cofam i córkę swoją, jeżeli będzie miała talent do robienia z nowych rzeczy starych i na odwrót — do szkoły tej oddam.

Ten sam zarzut moglibyśmy uczynić p. Szewczykowskiemu — ślusarzowi. „Ślusarz — i nie więcej?” zapytała się baronowa Rzepecka młodzieńca, który powróciwszy z Belgii, złożył swę ciotce wizytę. „Tyś tylko ślusarzem!... wołała zdesperowana... a miałeś być przecież artystą... będziesz wyrabiał klucze, a miałeś malować kwiaty i herby.” Nie wiemy czy p. S. ma w swym rodzie równie dystygowaną ciocię, ale i on urodził się na artystę a został ślusarzem.

Panowie! przed takim ślusarzem czapkę zdejmujcie a panie radźcie się go o złotą klatkę na serce, które wam ze szczęścia chce z piersi wyskoczyć. Proszę zobaczyć jego lichtarze, świeczniki, kratę żelazną przed kominek, przyciski, klucze i zamki... a przynajmniej, że przed wami stoi artysta, który nie pnąc się na szczyty Olimpu, w pracowni ślusarskiej wyrabia arcydzieła. Jakże ślicznie a tanio można przy pomocy jego warstatu zamienić swój mieszczański pokój w komnatę godną rycerskich kastelów; zazdrościlibyśmy temu, kto kupił sobie kratę przedkominkową, wypilowaną ręcznie w deseń florencki, i przez nią będzie patrzył na płonący ogień... gdyby tym nabywcą nie był L. hr. Krasiński, któremu zazdrościć i nie godziłoby się i na nic by się nie zdało.

Ale i publiczność nasza ma gust dobry — rozkupiła wszystkie drobiazgi i żąda coraz nowych; pozostał tylko klucz taki śliczny, że mógłby go każdy szambelan przypiąć sobie do poy.

Przechodząc a'leć wysadzoną kwiatami sztuczniemi, którym do życia brakuje tylko robaka, co się w kwiecie lęgnie, spojrzalem na kokoszkę i koguta, wydłubane na jakiejś materji jedwabiem.

„Jak się pani Dobrodziejce podoba ta para wyhaftowanego drobiu?” zapytałem jakiejś jejmości, lornetującą z zajęciem czerwony grzebień koguta. „Kiedy nie mogę dojść jaka to rasa — chińska czy indyjska?” odpowiedziała patrząc mi bystro w oczy, bo myślała, iż ma przed sobą hodowcę drobiu, a co najmniej kucharza.

„Zdaje mi się, że to rasa włoska”, odpowiedziałem wskazując na napis wyhaftowany nad parą kurników: „Romeo i Julia”. Z tego utytułowania drobiu imionami bohaterów tragedyi Szekspirowskiej widzimy, że przykład naszych panów i pańków tytułujących swoich wyścigowców imionami ludzi hi-

historycznych, nie pozostał bez wpływu; znaleźli oni naśladowczy-
nię w Kijowie, z kąd właśnie Romeo i Julia pierzaci pochodzą.
Jeżeli pomysłem chciano ściągnąć ideał miłości w błoto
kurnikowe, to żalujemy wielce tych oczu, które się mozoliły
nad haftowaniem; żalujemy usteczek pracownicy, co się do
tego cierpkiego dowcipu uśmiechały z zadowoleniem. Ciemno
musi być i pochmurno w pokoju, w którym wykonywają się
takie pomysły, tam na oknie zamiast kwiatów i białych firan-
nek stoją zapewne cybuchy i butelki, a na stoliku leżą
książki z powieściami, od których czuć wstrętne zaduch, ja-
kim oddychał pan Skrzetuski w powieści „Ogniem i mieczem”
Sienkiewicza, przedzierający się do obozu królewskiego przez
bagna zafarbowane krwią, zapchane trupami.

Alé i w kurnikach bywa nieraz tak czysto i białe, jak na
stołach zasłanych wyrobami ze słomy i włókna drzewnego, a po-
chodzących z fabryki istniejącej w dobrach Kutnowskich, zało-
żonej przez właściciela dóbr p. Zawadzkiego, kierowanej przez
p. Złotoskiego, a obsługiwaną przez chłopów, chłopki i ich
dzieci.

Wyroby kutnowskie należą do najciekawszych przedmio-
tów na wystawie w Muzeum, a pan dyrektor do najintelligent-
niejszych dyrektorów a zarazem do uprzejmych opowiadaczy
o tém, jakie korzyści kraj nasz może ciągnąć ze słomy i drzewa.
„Słomę sprzedąć, bo w tym roku dobrze płaci—i drzewo sprze-
dać żydom”—odpowiedział jakiś agronom od siedmiu boleści,
przysłuchujący się naszej rozmowie; a pan dyrektor z uprzej-
mym uśmiechem dodał: „Sprzedać sążnie ale przerobione na
kapelusze, obrusy, zasłony, namioty; sprzedać sterty słomy ale
przerobione na pudełka do cukierków, na krawaty i panto-
felki”.

Trudno w kronice opisać co kunszt potrafi zrobić ze słom-
y i drzewa; począwszy od grubej maty pod nogi aż do tak de-
likatnej tkaniny, że mogłaby służyć za koszulkę dla nowonarod-
zonego, wszystko zadziwia, podoba się a mięte w rękę nie
łamie się ani kruszy, lecz gnie się jak muslin lub płótno.

Oglądając takie cacka słomiane jak pantofelki godne
nóżki kopciuszka lub krawatki z sutemi kokardami... zapyta-
łem p. dyrektora, z kąd pochodzą pracownicy z paluszkami, które
potrafią prząć tkaninę prawie pajęczą. „Zazdroszczę Kutnow-
skiemu takich boginek a panu dowództwa—rzekłem, pan dy-
rektor zaś zaprzeczył: „Ależ panie, to nie boginki, to najrzetel-
niejsze chłopki robiły te rzeczy.”—„Swemi grubemi palcami?”
„Palcami przyzwyczajonemi do podawania snopów w stodole
i do rozrzucania po zagonach... nie róż ani tulipanów. Ręka
chłopska więcej warta niż w rękawiczkach wypieszczona, bo
oprócz zręczności posiada siłę, nie męczy się całodzienną pracą;
wirtuozostwo zaś ich jest wielkie, Maryśka kutnowska ro-
biąc plecionkę tak szybko przebiera palcami jak pani Menter
grając na fortepianie.”—„Więc i Maryśka mogłaby zostać
sławną artystką?”—„Dlaczegożby nie—ten lud nasz dzielny,
kochany, do wszystkiego jest zdolny!”

Prawda, że ta cała powieść o fabryce kutnowskiej przy-
jemnie się czyta, że jakieś ciepło robi się w duszy na widok
człowieka, który jest znakomitą specjalistą, znakomitym
kupcem i najznakomitszym... blagierem.

Z dobrą wiarą słuchaliśmy opowiadań p. Z. o wielkich
rozmiarach fabryki kutnowskiej, o olbrzymich obstalunkach,
o farbiarniach, o przedziałniach i t. p.—z serdeczną wdzięczno-
ścią wszyscy zainteresowani nowym u nas przemysłem ściskali
rękę dyrektora, który przyjmował gorące komplementy z do-
brą wiarą a w duchu sobie pewnie myślał: jacyście wy...!

Pan ten dopuścił się szkaradnego czynu — okłamywał
nie tylko publiczność lecz nawet komitet wystawy, któremu
podał deklarację fałszywą. Warstwy kutnowskie to ledwie
początek, próbka, pracuje w nich zaledwie kilkunastu ludzi
a obstalunki są bardzo drobne; tymczasem p. dyrektor popisał
w deklaracji niestworzone rzeczy. Jego kłamstwo nie było
potrzebne dla wyrobów, bo te są istotnie piękne, więc co skło-
niło tego pana do przekręcania prawdy?

Pierwszy raz zdarza się podobne nadużycie na publi-
cznym konkursie, nadużycie, które nie może zostać bez skar-
cenia.

W jaki sposób komitet Muzeum ukarze tę niesumien-
ność—to do nas nie należy, ale i my musimy wyprzeć się tego

uścisku ręki, jakim żegnaliśmy dyrektora... blagiera. P. dy-
rektor nazwał się przed nami p. Złotoskim — a zapomniał
dodać Goldberg, chociaż ten pierwiastek stanowi rdzeń jego
obywatelskiej godności.

Niech mi szanowny korespondent z Mińska gubernialnego
wybaczy, że zabrawszy sporo miejsca na słomianki i blagie...
nie mogę opisu pierwszego bazaru powtórzyć dosłownie —
choć opis jest malowniczy, żywy a kreślony widocznie pod
pierwszym wrażeniem nowości, zapożyczony od Warszawy.

Na bazar zbiegło się całe miasto, jak się zbiega całe są-
siedztwo na oglądanie pierwszego ząbka beniaminka kochanych
powszechnie obywatelstwa; w te ciężkie czasy, które i w Miń-
sku nie są lekkimi, zebrano na cele dobroczynne przeszło
2,000 rs.—suma ogromna! Ale bo też były ofiary pańskie—
pani Prozorowa za kilka drobiazgów złożyła na tacy rs. 500.

Herby w takiej oprawie nie kłują nas w oczy, owszem
sielibyśmy je na każdej grzędzie, którą los skrapia łzami sierot,
młodzieży pragnącej nauki a biednej i rodzin pozbawionych nie
z własnej winy kąta domowego. Miłosierdzie ukochało sobie
zakątek miński, od czasu do czasu wytryśnie z niego zorza co
sięga aż do nas, aby poskromić naszą zarozumiałość, że War-
szawa jest najdobroczynniejszą ze wszystkich grodów.

Jak wszystko tak i Miłosierdzie ma swoich weteranów,
którzy po odbyciu kampanii resztę dni spędzają w zaciszu, zapo-
mniani nawet przez tych, którym dobrze czynili. Jednym z ta-
kich blisko 90-cio letnich weteranów, był ś. p. Konstanty
Fiszer, któremu do trumny włożono krzyż *Virtuti militari*
i z wyspy Świętej Heleny, a na trumnę wieniec z napisem
„Ojcu sierot”. B. oficer b. wojsk polskich zapisał się w kro-
nicy dobroczynności warszawskiej złotemi głoskami. Była to
postać w swoim czasie piękna, typowa jako piękność mężka
a rasowo polska: wysoki, trzymający się prosto, z twarzą wy-
razistą, ozdobioną sumiastym wąsem, kiedy szedł jako „Ojciec
sierot” na czele swych pupilków z Towarzystwa Dobroczynno-
ści—to ludzie stawali, aby się przypatrzeć pięknemu dziadunio-
wi. Z czasem postać się pochyliła, głos zaciemnił się chrypką,
w końcu zaś żołnierz, b. rolnik, człowiek pracowity i uczynny
musiał zamknąć się w czterech ścianach domu swego i ustąpić ze
stanowiska. Zeszedł z posterunku dopiero wówczas, kiedy już
jego komendy dzieci nie mogły dosłyszeć, kiedy starcy zaczęli go
wyprzedzać... wówczas dopiero ustąpił wódz, nie chcąc swęj go-
dności na szwank narażać.

Za dzielność żołnierską pozyskał order, za służbę pod
znakiem Miłosierdzia pozyskał cześć i wdzięczność grodu,
któremu drugą z najlepszych części swego serca poświęcił.

SEP.

HERB NA GIEŁDZIE.

POWIEŚĆ

Jana Zacharyasiewicza.

(Fałszy ciąg).

III.

Zaledwie parę miesięcy minęło od owęj sceny w górskim
dworku. Wszystko tam było jak dawniej: ten sam pokój,
ta sama historyczna szyba pęknięta na dwoje, te same góry
za szybą. Stół tylko przed kanapką nakrył się półjedwabnym
kilimkiem, złotym szychem przetykanym; na nim zamiast ka-
lendarza i przepisów kuchennych leżały teraz jakieś pisma
ilustrowane, traktujące przeważnie o modach.

Większa zmiana zaszła w samych mieszkańcach. Jójmość
siedziała jak dawniej na kanapie, ale zamiast dawnego szla-
frocza, miała na sobie welwetowy kaftanik, wcięty do figury;

srebrem przetykane włosy były starannie wyczesane do góry, mimo, że to był dzień powszedni. W rękach trzymała jakąś robótkę jak dawniej, materiał jednak tej robótki był szlachetniejszy od dawniejszej bawełny: składał się z włóczki różnobarwnej.

Imć pan Jędrzej pozostał na pozór ten sam: ta sama szara kapotka, te same buty jałowicze i ta sama siwiejąca czupryna na głowie. Za to gruntowna zmiana zaszła na jego twarzy; czoło jego pomarszczyło się i było tak ruchliwe, jak woda górskiego potoku; policzki poczerwieniały jak cybuch z burztynem, ale ulubiona fajka leżała zdala na ziemi, o czym wcale nie wiedział. Miał przed sobą stos gazet zagranicznych i pilnie czegoś w nich szukał. Można by go było posądzić, że jest kandydatem na męża publicznego, że zaczął uprawiać wielką politykę, gdy mu owsiana gleba nie dopisała. I nie byłoby w tym nic dziwnego; wszak sąsiad jego zapomocą kilku mówek dostał się do rady powiatowej, ztamtąd do sejmu i do Wiednia, a teraz zamyśla budować kolęj żelazną z zyskownym tytułem członka rady zawiadowczej. Czyżby tego nie potrafił Imć pan Jędrzej, czego dokazał Imć pan Mateusz?

Tak jednak nie było. Imć pan Jędrzej był człowiekiem skromnym i sił swoich nigdy nie przeceniał. Kłopotliwe gospodarstwo na górskiej glebie zawiodło go nieraz i zmusiło go przestawać na skromnych nadziejach. Zresztą już sam wybór artykułów dziennikarskich, które teraz odczytywał, dowodził, że mu nie chodziło o sytuacje polityczne: poprzestawał na inseratach i tabelkach giełdowych.

Kilka razy pociągnął z próżnego cybucha i rzekł do żony z pewną gorączką:

— Czy wiesz, kochanie, że akcje anglo-banku i losy tureckie znowu szalenie w górę poszły! Aż mię strach bierze, jaką fortunę zrobi pan Józef! Marzyłem wczoraj, że może już kupić Jodłówkę z Przysiółkiem — dzisiaj i klucz Sosnowiecki będzie już dla niego zamały.

— Co mówisz, Jędrzeju! — odpowiedziała jejmość z rozkoszą — toż to wszystko jak we śnie. Nie dawno temu jak nauczyciel gimnazjalny chciał się pokusić o Helunię, a dzisiaj dla niej taka przyszłość się otwiera!... Czy pisałeś do Lwowa o tę karekę?

— Nie spieszyłem się, i dobrze się stało. Widziałem wczoraj w mieście hrabinę Izę w takim powozie, który się z przodu i z tyłu zamyka; można mieć budę z tyłu i z przodu, jak kto chce. Jeżeli kupić, to już coś modnego... Czy Helunia czyta te książki francuskie, które pocztą przysły? Trzeba aby się ćwiczyła w tym języku, który będzie potrzebny w jej przyszłych stosunkach. Mówią, że na zebraniach u hrabiego i księcia marszałka rozmawiają tylko po francuzku.

Rozkoszne uczucie malowało się na twarzy szczęśliwej matki.

— Lękam się nawet myśleć o tym — tak niespodziane jest szczęście naszój Heluni.

— Opatrzność Boga, nic więcej. Nie zasłużyliśmy sobie, z wdzięczną uległością trzeba przyjąć wyroki nieba!

— Któżby się był tego spodziewał!

— Żyjemy w takich czasach. Znakomitości nasze polityczne wyrastają jak grzyby po deszczu; wczoraj był producentem wołów opasowych, dziś mężem stanu, a w zanadrzu ma już buławę ekscelencyi!... Jeżeli z rozumem tak się dzieje, dla czegoż miałyby inaczej być z kieszeniami?

— Czasy inne, trzeba się do nich zastosować.

— Otóż w tym sęk, aby to umieć zrobić. Trzeba wpływać na Helunię, żeby te dawne przyjaźnie swoje powoli oddalała od siebie. Powinna o tym pamiętać, że w niedalekiej przyszłości będzie się żyło w innych warunkach i stosunkach.

— Ja już teraz lekko to jej natrącam.

Rodzicielskie też kłopoty przerwał gość nowy. Wszedł on do pokoju z tą poufalością bezwzględną, z jaką zazwyczaj do warstata rzemieślnika wchodzi reprezentant kapitału.

— Dzień dobry, Lejba — zawołał nieco sztywno pan Jędrzej — jak tam zdrowie?

— Ny — odparł z uśmiechem arendarz — ja myślałem, że pan dobrodziej zapyta jak stoi interes?

— Czy Lejba myśli o Jodłówece?

— Ja myślę o tym, o czym pan dobrodziej myśli.

Imć pan Jędrzej wyprostował się jak człowiek, który nie rad patrzy poza siebie.

— Dzisiaj zamiary zmieniają się szybko, mości Lejbo; być może, że i ja, czy raczej mój przysły zięć o Jodłówece teraz nie myśli.

Arendarz spojrzał podejrzliwie na mówiącego.

— Dlaczego nie myśli? Jodłówka dobry interes.

— Dobry jak dla kogo. Kaftanik także dobry, ale jeśli kto może sobie kupić futro...

— Co to znaczy futro?

— Jodłówka to kaftanik, a futro to... to — klucz Sosnowiecki!

Imć pan Jędrzej pociągnął teraz z próżnego cybucha i spojrzał z uwagą na swego tyloletniego powiernika. Znał on dobrze tę twarz wybladłą i tę brodę siwą; widział już nieraz jak ta twarz wyglądała, gdy naprzód raty żądał, lub o krótką pożyczkę się umawiał. Miała ona zawsze dla niego jakiś wyraz nieprzyjemny, było w niej coś, co mu przykrość sprawiało. Dzisiaj naszła go żądza odwetu; chciał na nią widzieć pewne uczucie, jakie w sercu ludzkim powstaje gdy się dowiaduje o cudzym szczęściu. Oczekiwanie jednak zawiodło go; Lejba nie skrzywił bynajmniej twarzy swojej, tylko podejrzliwie spojrzał na gorączkowy rumieniec dziedzica.

— Klucz Sosnowiecki — ozwał się po chwili — to wielka krowa — to państwo!

— Jeżeli kogo stać na państwo... Pan Józef już ma dzisiaj dwakroć stotysięcy gotówki!

Żyd nic nie odpowiedział.

— Cóż Lejba na to?

— Chyba to powiem, aby panna Helena jaknajprędzej ślub z nim wzięła.

— Czy sądzisz, że pan Józef kupiwszy klucz Sosnowiecki mógłby się inaczej namysleć?

— Ja nie nie sądzę, bywa to różnie na świecie.

Imć pan Jędrzej pociągnął znów z cybucha.

— Wiem, że u was pieniądze są wszystkiem, że u was zawierają się małżeństwa jak kontrakty na dostawę szabru; przed ślubem jedno drugiego nie widzi. U nas inaczej, trzeba sentymentu, trzeba gruchania, piosenki przy klawikordzie etc. Ty tego nie rozumiesz, mój Lejbo!

— Niech i tak będzie. Czy chcesz wielmożny pan abym się co dowiedział o kluczu Sosnowieckim?

— I owszem... ale tak mój Lejbo aby hałasu nie robić...

— Rozumiem — osobiwie przed ślubem.

Żyd skłonił się, ale nie tak nisko jak sobie wyobrażał pan Jędrzej; zatargowanie klucza jakoś mu nie zaimponowało. Na szczęście pana Jędrzeja nadszedł gość drugi, który lepiej od żyda potrafił ocenić świetne powodzenie przyszłego zięcia.

— A... kochany proboszcz! Wielce się cieszę z takiego gościa. W nieszczęściu i w szczęściu trzeba się z drugim podzielić!

— Czy jakie nieszczęście? — zapytał sędziwy gość, stawiając laskę w miejscu najdogodniejszym.

— Chroni nas Boże od nieszczęścia!... Od ostatniego obliczenia zysków pana Józefa, cośmy wspólnie niedawno sprawdzili, podwoiła się jego fortuna. Człowiek ten urodził się pod szczęśliwą gwiazdą, i nas pociągnął za sobą w swoją konstelację.

Imć pan Jędrzej rozłożył gazetę.

— Czytaj proboszczu, jakie szalone kursa! Gdy pan Józef lokował swój kapitał u wekslarza wiedeńskiego, stały Anglo-banki niżej stu — dzisiaj wyszły wyżej czterysty! Weź do tego jeszcze losy tureckie, Nordbany, Westbany, Südbany, Elizabety...

— Zlituj się, panie Jędrzeju — przerwał proboszcz biorąc się za głowę — wszystko poprzewracasz mi w mózgowicy! Toż to cały słownik, przeznaczony kolatorze. O takich nomenklaturach jak żyję nie słyszałem.

Imć pan Jędrzej założył ręce, jak Napoleon po bitwie pod Ejlau, i uśmiechnął się.

— Żyliśmy w zacołaniu, dobrodziej — odrzekł laskawie — oraliśmy niewdzięczną glebę, aby wiele posiać a mało zebrać. Płaciliśmy wysokie podatki, a sami jedliśmy barszcz i kaszę. Pocieszałyśmy się tym, że nasi ojcowie tak samo robili.

Niemcy dopiero i żydzi uczą nas rozumu: nie sieją ni orzą, nie pracują tak ciężko a jednak zbierają miliony. Od tych milionów nawet podatków nie płacą, bo komisarz podatkowy nie zliczy ich!... Dlaczegoż i my nie mamy ich naśladować? Mówimy wiele o ojczyźnie a nie wiemy, że ojczyzna to pieniądze. Gdy nas wyzują z pieniędzy i z majątków, to ojczyznę dyabli wezmą! Dla biednych jest chyba tylko... królestwo niebieskie, jak to ksiądz proboszcz zawsze nam w niedzielę obiecujesz.

Proboszcz zażył tabaki i długi czas milczał.

— Przysnąję się—rzekł wreszcie—że jestem ignorantem w sprawach dzisiejszych, a może i zacofanym. Gdy Pan Bóg Adama z raju wypędzał, mówił mu wyraźnie, że będzie w pocie pracował; o giełdzie, o papierach bankowych nie wspominał ani słówkiem.

Jmć pan Jędrzej z litością spojrział na człowieka, który dotąd nie tylko w sprawach sumienia, ale nawet we wszystkich procesach o granice lasu z sąsiadami był u niego wyrocznią. Dzisiaj czuł się daleko wyższym od niego; powodzenie przyszłego zięcia przysporzyło mu wzrostu i rozumu. Rozpoczął z proboszczem długą dysputę o spekulacji, handlu i przemyśle, o eksploatacyach zapomocą kapitałów składowych, o spółkach i domach zleceń, i tym podobnych kwestyach dziennych, o jakich naczytał się był w gazetach.

Proboszcz nie wiele odpowiadał. Z pewnym niepokojem spoglądał na drzwi, przez które zwykła wychodzić do niego panna Helena. Niepokój jego wzrastał coraz więcej; krząkał i odkaszczał, ale napróżno. W drugim pokoiku nikt go nie słyszał. Drzwi milczały zamknięte, a za niemi było tak cicho i głucho jakby tam wszyscy wymarli.

Obejrawszy się poraz dziesiąty na drzwi zamknięte, zaczął z pewnym nieokreślonym uśmiechem:

— Dajmy pokój, mości kolatorze, tym sprawom mamony. Przysnąję się, że wielkie majątki budzą zawsze we mnie jakąś obawę. Gdy się dowiem, że ten i ów przyszedł nagle do niespodziewanego mienia, zaczynam się obawiać, że to mienie jakieś lichy z sobą przyniesie. Masz mi za złe, jeżeli w niedzielę twierdzę, że z biednymi jest Bóg—a ja ci powiadam, że do majątków źle zdobytych zawsze się dyabeł przyczepił!

Przy tych słowach zażył proboszcz tabakę z taką dziwną ekspresją, tak jakoś tajemniczo strzepnął palcami i tak niespokojnie na drzwi zamknięte spojrział, że siedząca na kanapie pani Jędrzejowa doznała mimowolnie jakiegoś przykrego uczucia.

— Niechże jegomość źle nam nie wróży—rzekła z uśmiechem szczęśliwej matki—dobrze, że Heluni tutaj niema, bo ona i tak skłonna jest do różnych przywidzeń. Opowiadała mi dopiero wczoraj, że śniły się jęj trumna, katafalk i świece, że słyszała dzwony pogrzebowe i śpiew: Salve Regina... Słyszała dalej jak ksiądz proboszcz...

— Czego te kobiety nie wymyślą—przerwał z głośnym śmiechem Jmć pan Jędrzej.—Jak tylko Pan Bóg coś dobrego na nie zesła, to zaraz lękają się, czy im tego dyabeł nie odbierze! To śmiechu warte! Tak samo ma się z dobrą kolacją; zaraz po kolacyi trapią nas we śnie woły z rogami, psy wściekle, raty bankowe, niezapłacone podatki i t. p. bestye.

Proboszcz spojrział znowu na drzwi zamknięte; zdawało mu się, że słyszy tam szelest znaną dobrze sukienki swojej pochrzestnej... Było to jednak złudzenie.

— Jest w tém racya—rzekł po chwili—bo smaczna kolacya to złudne oszłomienie, a podatki niezapłacone i raty bankowe to rzeczywistość.

— Ktoby tam z tobą, zacny proboszczu, kiedy się doga—dał—odparł pan Jędrzej już nie tak wesoło.

(Dalszy ciąg nastąpi).

JOANNA D'ARC NA STOSIE.

Obrazu Matejki już niema w Warszawie wywieziony został do Wiednia a tym którzy go nie widzieli nieprędko zdarzy się sposobność do podobnej uczty artystycznej. Obraz widziało

u nas blisko 80,000 osób; poważna to ilość, jednak nie tak wielka, jakiej arcydzieło Matejki mogło się spodziewać.

Matejko obejdzie się bez blasku, jaki bije z porównania naszego mistrza z cudzoziemcami, dla naszej jednak miłości własnej porównajmy Joannę Matejki z Joanną jednego z najslawniejszych i wysoce utalentowanych malarzy obcych, Gabriela Maxa, który chociaż urodzony w Pradze czeskiej, należy przez wykształcenie swoje i stosunki do szkoły i społeczeństwa niemieckiego.

Nasz mistrz wybrał chwilę tryumfu, mistrz niemiecki chwilę zbrodni; obie wymagały od oswobodzicielki Francji idealnej piękności w spojrzeniu, w ruchu, w całej postaci; Max nie dorównał Matejce, jego Joanna pomimo stosu, słupa i płomieni nie budzi w widzu serdecznego współczucia, ani pogardy dla jęj oprawców. Twarz tęg męczennicy wpatrzonej jest w niebo, ale ani natchniona ani świątecznie spokojna, jest w niej raczej odwaga i szlachetna ambicja; nie słychać na jęj ustach modlitwy, w oczach nie widać miłości, piersi nie rozpiera serce pragnące życia a rozdarte nieszczęściami ojczyzny.

Stos, wystawiony na Starym rynku w Rouen, już od dołu ogarnęły płomienie, w powietrzu już latają czarne płatki oderwane od smoły zlanego drzewa, wloką się dymy, przyskają iskry, czuć swąd a za chwilę zajmie się słoma podesłana pod męczennicę i zacznie smarzyć ciało, spopielać kości—piękną postać dziewicy zamieni w straszny skielec.

Tak opowiada historia, to samo chciał wyrazić malarz ale pędzel jego był zasłabym do tęg tragedyi. Matejko byłby jęj podolał.

Opowiedzieliśmy w zeszłym numerze tryumfalny pochód obronicielki tronu Orleanów, teraz opowiemy kilku słowy jęj zgon męczeński. Ta, którą teologowie francuzcy uznali za posłanniczkę Bożą a parlament ogłosił za świętą, ta, którą naród cały witał okrzykiem: Witaj dziewico od Boga zesłana!—została skazaną na śmierć jako czarownica. Lud wierzył, że Francją wyrwało ze szponów angielskich nie męstwo żołnierza, nie zręczność dyplomacyi lecz jedynie Dziewica, która posiadała moc czynienia cudów. Joanna taki postrach rzuciła w szeregi hufców angielskich, że nie było końca radości, kiedy narazie schwytyli ją w Compiègne. Tę zdobycę anglicy obchodzili sółenném Te Deum, igrzyskami, sztuczniemi ogniami—król angielski Edward swobodnie odetchnął.

Wówczas rozpoczął się proces, który stanowi hańbę ówczesnej historii. Joanna zamknięta w zamku Baulieu, potem w Beaurevoir—zwątpiła o swoim losie. Ciągłe zwycięstwa, otrząskanie się ze szkaradą wojenną, starło do pewnego stopnia z nięj chryzmat natchnienia i wiary tylko w moc Boga; chociaż własną ręką nikogo nie zabiła ale patrząc jak inni mordują—uwierzyła i w moc ręki ludzkiej.

W więzieniu lękała się aby północna Francya nie wpadła znowu w ręce anglików; starała się uciec, wyskoczyła nawet przez okno. W końcu obciążona łańcuchami, oddaną została na naigrawanie się dozorców więziennych, nad które lepszą jest śmierć—nawet w najstraszniejszych męczarniach. Opuszczona przez króla swego, Karola VII, któremu powróciła koronę, potępiona przez zazdrosnych dworzan i przez Agnieszkę Sorel, obawiającą się spóźzawodniczki do serca królewskiego—skazaną została na śmierć. Poniosła ją na stosie wysoko napiętrzoną, aby czarownicę mógł widzieć cały naród, obłożonym gliną, aby męczarnię konania jaknajbardziej przedłużyć—umarła nie wyparłszy się swego posłannictwa Bożkiego, umarła nie złorzeczając nieprzyjaciółom ani niewdzięcznym, usta jęj do ostatniej chwili powtarzały imię Jezus.

Malarz nie dorównał genialnemu poecie. W tragedyi Szyllera Joanna d'Arc kona, dziękując niebu za męczarnię natchnionemi słowami:

..... Całe niebo pała
Blaskiem swęj chwały! Widzicie, widzicie,
Tę jasną tęczę na niebios błękitach?
To droga moja! Tam widzę — to Ona:
Z Synem na ręk, śród aniołów grona
Zstępuje ku mnie! O! nieogarniona!
O! Pani moja! O! jakąż rozkosz!
Piers moja pała! Chmury mię unoszą,
Jasność mię od Niej otacza słoneczna...
Krótka jest boleść, ale radość wieczna!

WYSTAWA W MUZEUM PRZEMYSŁU I ROLNICTWA.

Początek Muzeum przemysłu i rolnictwa datuje się od lat dziesięciu. Myśl założenia tej instytucji powstała w gronie ludzi, którym rozwój dwóch głównych gałęzi gospodarstwa krajowego leżał na sercu, zadaniem jej bowiem jest, zapomocą gromadzenia najlepszych wzorów i modeli, zapomocą wystaw, odczytów i innych pomocy i środków naukowych wpływać na podniesienie przemysłu i rolnictwa.

Pierwiastkowo Muzeum mieściło się na komornym przy placu Krasińskich, następnie w pałacu Brühlowskim, a gdy układy o kupno tej posesyi nie przysły do skutku, przeniosło się do nabytych na własność zabudowań pobornardyńskich, które postanowiono zupełnie przebudować, a raczej wznieść na ich miejscu gmach nowy, odpowiedni celom i potrzebom instytucji. Rozpisano tedy składki między członkami założycielami, których zastęp składał się z następujących osób:

Jan Berson, Pelagia hr. Branicka, Wład. hr. Branicki, Hille i Dietrych, Władysław Kronenberg, Jakub Natanson, Wilhelm Rau, Henryk Rajchman, Karol Szajbler, Feliks So-bański, Karol Szlenker, Temler i Szwede, Juliusz Wertheim, Tomasz hr. Zamoyski i Jan Zawisza.

Ogół składek wyniósł 37,000 rs.

Duszą atoli zabiegów około wzniesienia godnej Muzeum siedziby był hr. Ludwik Krasiński. Jego to głównie niezmordowanej działalności, jego obywatelskiemu duchowi, jego wreszcie hojności na publiczne cele, zawdzięcza miasto nasze jeden z najwspanialszych przybytków, jakim się u nas zakłady pożyteczności publicznej pochłubić mogą; jemu też głównie zawdzięcza ta instytucja, że lubo jeszcze tak młoda, tyle już usług była w stanie oddać społeczeństwu, wśród którego powstała. Nie możemy tutaj rozszerzać się nad jej działalność; wystarczy zaznaczyć pokrótce fakta, które same za siebie mówią.

W r. 1876 zarząd Muzeum otworzył laboratorium chemiczne pod kierunkiem p. Milicera; w roku 1880 stacyą oceny nasion pod kierunkiem d-ra Sempołowskiego; w r. 1885 stacyą meteorologiczną; w r. 1886 gabinet fizyczny; od roku 1877 istnieją w Muzeum sale rysunkowe, zrazu wyłącznie dla mężczyzn, do których później dodano osobne godziny dla kobiet; urządzono kilka seryj odczytów fachowych, a mianowicie z zakresu fizyki przemysłowej, z dziejów leśnictwa w Cesarstwie i Królestwie, o cukrownictwie, o żywieniu się roślin, wreszcie o świetle elektrycznym. Ośm wystaw z rozmaitych działów przemysłu i rolnictwa uzupełnia szereg zasług młodej instytucji, zakończony niedawno zamkniętą wystawą nasion i otwartą obecnie wystawą przedmiotów służących do urządzenia i ozdoby mieszkań oraz należących do stroju.

Rycina nasza przedstawia w zbiorowym zgrupowaniu najcelniejsze, a przynajmniej najwznieśliwsze okazy tej wystawy. U dołu sypialnia urządzona z wykwintem przez p. Milicerową; na lewo zestawione okazy pracy kobiecej ze szkoły p.p. N. Jackowskich; powyżej, obok pięknych majolik nieborowskich, ukazują się wspaniałe zegary z pracowni p. Woronieckiego, których wszystkie części składowe na miejscu są wyrobione. Na lewo wznosi się szczyt jednego z kiosków wystawowych, z grzebieniami z fabryki hr. L. Krasińskiego, a w głębi tłoczy się tłum zwiedzających. Ponad tém wszystkiém, na prawo, wizerunek tego, którego dziełem nazwać można całe to Muzeum, wraz z gmachem swoim, z wystawami, prelekcjami, pracowniami, stacyami—wizerunek hr. Ludwika Krasińskiego.

Myśląc o Muzeum, niepodobna zapomnieć o hr. Ludwiku; rysując Muzeum nie można jego pominąć. *Suum cuique!*

„ŚWITEŻ” I „ŚWITEŻ”.

Niewiele da się powiedzieć o czasach szkolnych Mickiewicza i o pierwszych błyskach nowej epoki literatury naszej XIX

wieku, nie wspominając o dwóch gorliwych jej apostołach: Tomaszu Zanie i Janie Czeczocie.

Oni to w gronie młodzieży uniwersytetu wileńskiego wraz z Mickiewiczem rozbudzili ducha koleżeńskości i zamięłowanie do literatury ojczystej, oni pierwsi wytyczyli owe drogi, które- ni poszli późniejsi nasi poeci.

Na pamiętnych „posiedzeniach czwartkowych”, które odbywały się zawsze u jednego z kolegów „promienistych”, czytano rozprawki w rozmaitych materyach a Zan i Czeczot swoje utwory poetyczne. „Niekiedy ożywione towarzystwo przeciągało swoje posiedzenia aż do białego dnia” pisze Domejko w rozprawce p. n. „Filareci i Filomaci” (Rocznik Tow. hist. lit., Paryż 1872).

Mickiewicz, Zan i Czeczot, jako poeci, pracowali w swoim kierunku gorliwie. Wielbiono też wszystkich trzech piewców i stawiano ich na czele całego ruchu akademickiego.

Wiadomo nam ze „Wspomnień” Odyńca i innych współczesnych świadków, jakiego rodzaju i które utwory poetyczne były czytane na owych posiedzeniach Filomatów jak i późniejszych Filaretów, jednak nie wszystkie one ujrzały światło druku, wiele, bardzo wiele zginęło bez śladu.

Jestem obecnie w tém miłym położeniu, że mam pod ręką oryginalny raptularz Czeczota (*), w którym znajduje się spora ilość utworów poetycznych, zupełnie dotąd nieznanymi a odnoszącymi się do czasów uniwersyteckich Czeczota. Jest tu wiele wierszy, opiewających miłosny stosunek poety do „Zosi” (panny Malewskiej), są wiersze pisane w więzieniu r. 1823 i późniejsze, dalej dłuższy wiersz i nadzwyczaj ciekawy p. t. „Do Maryli”, wreszcie wiele ballad z różnych czasów (**).

Miedzy temi ostatnimi znajduje się ballada „Świteż”, ciekawa z wielu względów.

Pierwszą balladę pod tymże tytułem — jak nam wiadomo — napisał był Zan, następnie Mickiewicz a niebawem po nich Czeczot.

„Świteż” Zana zaginęła; znaliśmy dotychczas tylko „Świtezie” Mickiewicza, a o Czeczota nie wiedzieliśmy wcale, czy kiedykolwiek istniała. A przecież była to wielka szkoda, że nie znaliśmy wcale owych dwóch ballad przyjaciół Mickiewicza, które mogły nam wykazać różnice zachodzące między nimi, a tém samém przyczynić się do wyjaśnienia, czy i o ile z tematu Zana zaczerpnął Mickiewicz. Ballada Czeczota rozstrzyga poniekąd tę kwestyę, albowiem wyraźnie pisze Czeczot na jej wstępie, że Mickiewicz „mówił co mu się śniło”, a więc stworzył swoje „Świteż” odrębnie i oryginalnie, gdyż powiada dalej Czeczot, że właściwiej opowieści Świtezi „od starych dowiedział się Tomasz” (Zan) i on, Czeczot, za nim w swojej balladzie opowieść tę powtórzył. Zbliżoną więc tematem musi być Świteż Czeczota do Świtezi Zana.

Zanim podam w streszczeniu wspomnianą balladę, poprzedzę ją pokrótce zdaniem p. Tretiaka o „Świtezi” Mickiewicza (***), by przypomnieniem tejże dać zarazem poznać czytelnikom różnicę zachodzącą między balladą Mickiewicza a Czeczota.

„Genezę Świtezi Mickiewicza — pisze p. T. — wyobrażam sobie w następujący sposób:

Poeta bywając w Tuhanowiczach podczas wakacji, miał nieraz sposobność nasycania się widokiem pięknego jeziora, leżącego wśród sąsiednich lasów płużyńskich, ponieważ tuż nad jeziorem szła droga do Tuhanowicz (****).

Przejeżdżając tamtędy nie omieszkiał zatrzymać się i wychodzić na brzeg dla przypatrzenia się jezioru. Jeżeli to było w dzień pogodny, mile go wabiła błękitna, gładka powierzchnia

(*) Raptularz ten jest własnością p. Adolfa Kobylńskiego, obywatela z Ciszewli w pow. Nowogrodzkim — krewnego Czeczota. (J. R.)

(**) Na podstawie wspomnianego raptularza wykończam obszerniejsze studium dla jednego z pism naukowo-beletrystycznych. (J. R.)

(***) „Mickiewicz w Wilnie i Kownie”. Lwów 1884.

(****) Być może że przedtem znał poeta to jezioro, droga bowiem z Nowogrodka do Zaosia, dokąd często jeździł jeszcze ze szkół na wakacje, przechodzi również niedaleko Świtezi. Ale gdyby i tak było, to w każdym razie inaczej patrzył na ten widok okiem dziecka — aniżeli okiem romantycznego młodzieńca. (J. R.)

okragłego jeziora, dokoła malowniczo ocieniona gęstą ścianą
drzemiącego lasu, a u dołu obrzeżona trzcina i owemi ziołami,
które

Białawém kwieciami, jak białe motylki,
Unoszą się nad topielą,
Liść ich zielony, jak jodłowe szpilki,
Kiedy je śniegi pobielą.

Ale zdarzyło się zapewne, że i w nocy tamtędy przejeżdżał,
i to w noc księżycową, a wtedy widok tój toni „puszczą oczer-
nioną” przedstawiał mu się daleko wspanialszym, uroczystszy, pełnym
poetycznej tajemnicy.

Stanąwszy nad brzegiem, nie mógł dojrzeć przeciwległego
krańca, który się gubił w mroku nocnym, ale zato pod stopami
jego „szklana równina” zapadała się w otchłań gwiazdzistą
tak, iż zdawał się „wisieć w środku niebokręga, w jakiejś
otchłani błękitu”. Zachwycony tym niezwykłym widokiem,
zaprażył nowe dla siebie wrażenie przelać w poezję.

Treść ballady w krótkich przypomnę słowach. Do ram
niejako należy opis Świtezi i opowiadanie o tój, jak „pan na
Plużnach, którego pradziady byli Świtezi dziedzice”, chcąc
z badać tajemnicze przepaście jeziora, kazał zapuścić niewód
i jak wyciągniono z tamtąd Świteziankę. Właściwa ballada wło-
żona jest w usta nimfy.

Opowiada ona, jak na miejscu, które dziś „trzcina zara-
sta” stało kwitnące miasto, bogate i „w kraśnetwarze” i „w sła-
wne orężem ramiona”, a panował w niem książę Tuhana, jeden
z litewskich książąt podległych Mendogowi.

Pewnego razu stolicę Mendoga obległy wojska nieprzyja-
cielskie. Mendog wzywa Tuhana na pomoc, pokładając w nim
całą nadzieję obrony. Tuhana gromadzi wszystką młodzież zbrojną,
i spieszy wyruszyć, gdy wtem—w chwili gdy już w bramie błys-
kał proporzec jego—uderza go myśl, że może własnych mie-
szkańców dla obcej zgubić odsiecz. Wraca tedy na dworzec
i obawy swoje zwierza córce. Córka jednak go uspokaja
mówiąc:

— Lękasz się niewczesnie,
Idź kędy sława cię woła,
Bóg nas obroni, dziś nad miastem we śnie
Widziałam jego anioła.

Okrażył Świtez miecza błyskawicą
I nakrył złotemi pióry,
I rzekł mi: póki męża zagranicą,
Ja bronie żony i córę.

Uspokojony Tuhana wiarą i mężstwem córki, ruszył na po-
moc Mendogowi, ale ledwie noc nadeszła, nieprzyjaciół zjawił
się pod bramami Świtezi.

Popłoch i przerażenie ogarnia opuszczone niewiasty, roz-
pacz dyktuje im samobójstwo.

Córka Tuhana niemniej od innych gotowa poświęcić życie
dla ocalenia czi, ale ona nie rozpacza, ufa w pomoc bożką,
która się jęć we śnie objawiła, i dlatego stara się powstrzymać
inne niewiasty od rozpaczliwego kroku.

Daremnne jednak jęć słowa; już inne niewiasty kładą gło-
wy na progu, czekając na uderzenie topora.

Gotowa zbrodnia: czyli wezwać hordy
I podle przyjąć kajdany...
Czy bezbożnemi wytępić się mordy;
Panie, zawołam, nad pany!

Jeśli nie mogę ujść nieprzyjaciela,
O śmierć błagam u ciebie,
Niechaj nas lepiej twój piorun wystrzela,
Lub żywych ziemia pogrzebie.

Wtem jakaś białość nagle mnie otoczy,
Dzień zda się spędzać noc ciemną,
Spuszczam ku ziemi przerażone oczy,
Już ziemi niema podemną!

Takeśmy uszły shańbienia i rzezi,
Widzisz to ziele dokoła,
To są małżonki i córki Świtezi,
Które bóg przemienił w zioła.

Sens moralny kończy balladę, a da się streścić w słowach:
lepij umrzeć aniżeli się shańbić.

(Dokończenie nastąpi.)

ZAKŁADNICY LWOWSCY (1672).

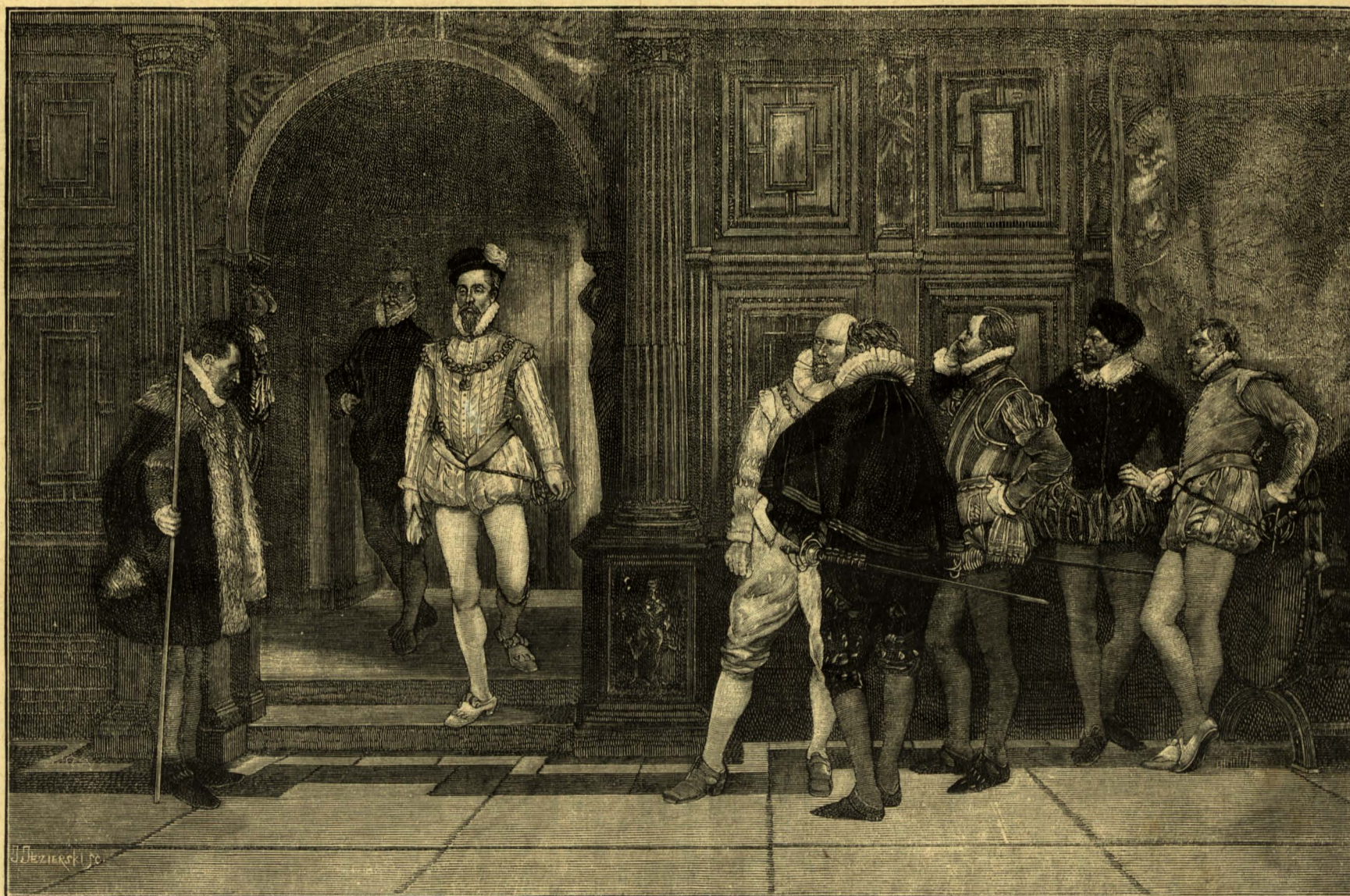
PRZEZ

D-ra Antoniego J.

(Dalszy ciąg.)

Po wyjeździe Sobieskiego ze Lwowa, bogatsze mieszczan-
stwo, nie bacząc na jego przestrogi, długim taborem prawie tuż
za nim pociągnęło; naturalnie, że kwiat patrycyatu pierwsze
w tój ucieczce niepolitycznej zajął miejsce. Prezydent An-
czowski dał hasło, wszyscy prawie radni podążyli jego śladem.
Wprawdzie okoliczności łagodzące zbiegom przysługują: żywy
przykład przed oczyma mieli; przez miasto przeciągał drobiazg
herbowny od kresów, a chcąc upozorować opuszczenie zagro-
żonych placówek, okropności o najeźdźcach opowiadał; za
szlachtą dążył gmin, jakby stado spłoszonych koni, biegnąc
obok murów stolicy ruskiej. Ruch ten zwrotny rozpoczął się
w końcu lipca, w sierpniu wzrastał się coraz bardziej; już
w połowie tego miesiąca pisał hetman wielki do podkancel-
rzego: „Ruszywszy z Pilaskowic, wszędy na głowę uciekają-
cych ludzi potykałem”. W pierwszej połowie września wzrósł
on do olbrzymich rozmiarów. W początkach odbywało się
to jeszcze porządnie, przymusowi wędrowcy ciągnęli taborami,
wioząc z sobą sprzęty, pędząc remanent, później już tylko
kolebki i wozy spotykał, a na końcu, kiedy Kamieniec
uległ przemocy, ratował się kto mógł i jak mógł, więc nie-
wiasty napół przytomne, z rozwianym włosiem, upadające ze
znużenia, bez wytkniętego planu biegly przed siebie, jękiem
i płaczem wielkim napelniając powietrze... gromady działwy
płaczącej, wyrostków wylekłych... Powstrzymać ich nie było
rady, wreszcie, jakie rękojmie bezpieczeństwa mógł zapewnić
powstrzymujący?... Nieprzyjaciół płynął szeroką lawą, drogę
znaczył zniszczeniem, we dnie dymy wygrzały oczy, nocą
słupy płomienne stały na widnokręgu, świat cały w ogniu,
straszny, groźny, nieubłagany. Tylko rycerstwo doświadczone,
na kresach wychowane, z tą straszną ruiną oswojone, szło
naprzód, przezornie rozglądając się dokoła; więc kozacy, wo-
lochy—„sustentowane kosztem hetmańskim”, więc ci nieustra-
szeni rotmistrze, przechowujący tradycją nieposzlakowaną
odwagi. Szli oni na czele partyzanckich oddziałów, by do-
stać języka, by się wywiedzieć o sile nieprzyjaciela, urwać
go, zastraszyć, powstrzymać na dzień, choćby na godzin kil-
ka. Chwila tego najazdu tak tragicznie odmalowana w dzie-
jach, ma swoje piękne strony, ma cały legion bohaterów,
o których historia zapomniała, rozplakana nad ogólnym nie-
szczęściem.

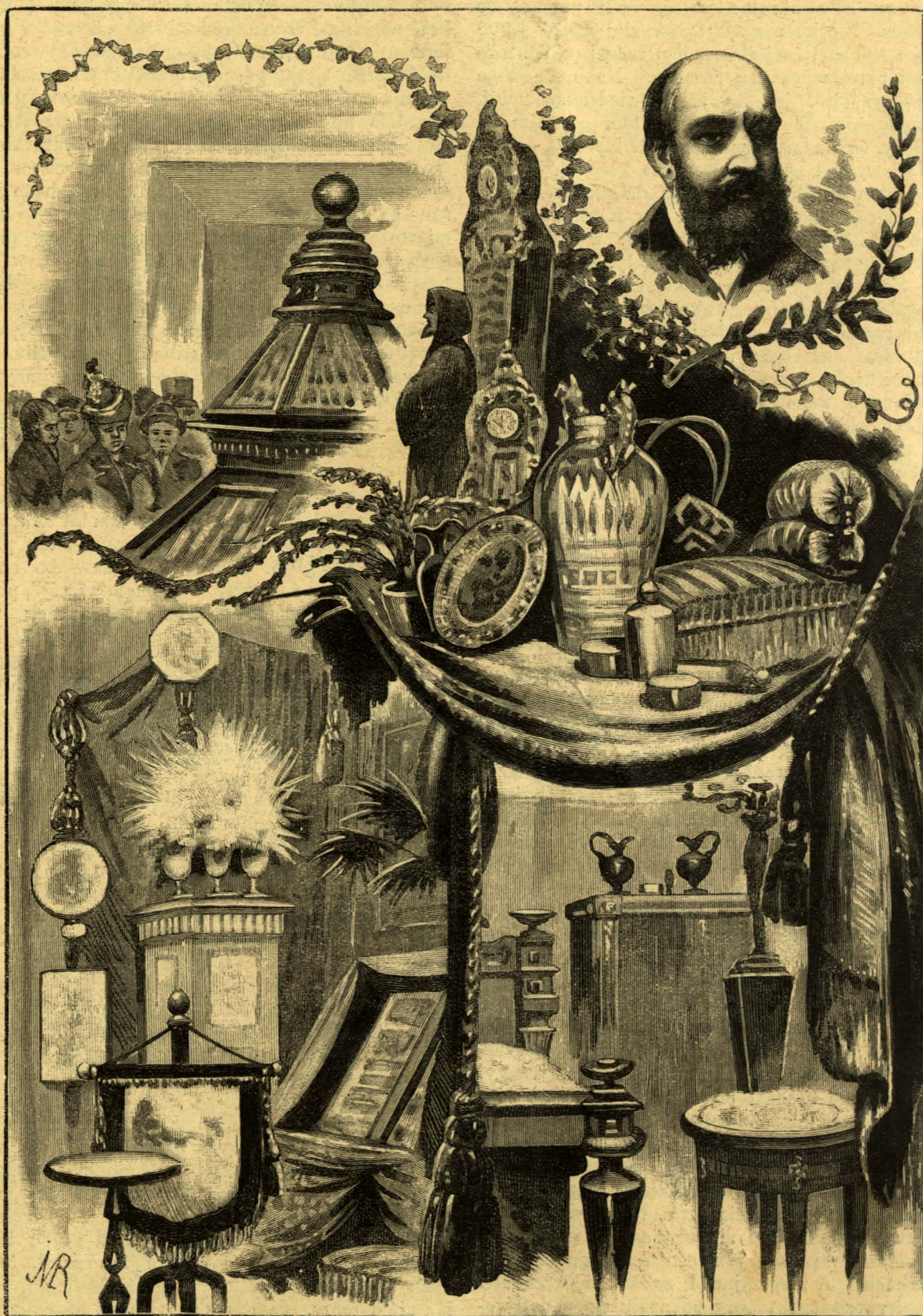
Nieprzyjaciół zatrzymano dni kilka oblężeniem Kamień-
ca, upojony tryumfem, rozlał się poza Zbrucz, przekroczył
wierzchołki dniesłowe i party siłą konieczności, potrzebą
zdobyczy, szedł dalej w głąb kraju. Drugim etapem znanym
w jeografii barbarzyńców był Lwów, bo te małe zameczki
między Kamieńcem a Lwowem położone, nawet nazw w ich
słowniku nie posiadały, oznaczano je numerami: zdobyto tyle
a tyle obronnych placówek, wzięto do niewoli tylu a tylu,
okup taki a taki—i na tój koniec; wobec strasznego kata-
klizmu, rozsypanie się w gruzy jakiegos tam skromnego for-
tu nie zasługiwało na zaznaczenie. Nieprzyjaciół więc zbli-
żał się do stolicy województwa Ruskiego, dokoła siejąc spu-
stoszenie... po ucieczce ludzi, zaczęła się ucieczka leśnych



ON ALBO MY!

Obraz B. Leroix.

WYSTAWA W MUZEUM ROLNICTWA I PRZEMYSŁU.



Grzebień i inne wyroby z rogu. — Zegarmistrzowstwo. — Majoliki Radziwiłłowskie. — LUDWIK HR. KRASIŃSKI.
Malowana porcelana, hafty, gobeliny, sztuczne antyki i t. p. wyroby z pracowni kobiet. — Stolarstwo i tapicerstwo.